

LUTY 1936.

Do Związku „I“

Orjentuję się dość dobrze w symbolach Waszych, choć ja sama obcą jestem Waszemu Związkowi. Odgadłam i p. Morcinka i p. Stokowską i p. Unkiewicz itd. Jedynie symbol »Ślimaka« jest dla mnie kompletną zagadką... Co oznaczają pchnięte rogami »narzędzia«? Nie rozumiem tego! Mój brak talentów, wyższego wykształcenia, inteligencji, a wreszcie warunki materjalne nie pozwalają mi się do Was zbliżyć. Przyglądam się wam zdaleka i czasem zdaje mi się, że Was rozumiem, czasem jesteście mi tak bliscy!..

Brak mi odwagi napisać wprost do któregokolwiek z członków. Stoję intelektualnie o tyle niżej od każdego z Was. »Dziś i Jutro« czytuję ukradkiem, to są numery przeznaczone dla kogo innego, wiem! — to źle! nie postępuję honorowo. Ale spowiadam się z tego przed Wami: to wasze słowa kuszą mnie tak nieodparcie, że brak mi siły, by zapanować nad sobą.

Nie śmiem i nie mogę Was prosić o listy. Byłaby to zbyt wielka łaska dla mnie... Zresztą nie mam własnego domu. Tam, gdzie jestem, wszelka korespondencja jest konfiskowana. Jestem moralnie tak bardzo osamotniona i tak bardzo tęsknię do innych ludzi niż ci, co mnie otaczają. Być może, że odrzucicie ze śmiechem mój list. Nie zdziwię się tem. Taki był zawsze mój los.

Ale może... Wczytując się w Wasze słowa, odczuwam je tak często samem dnem duszy, tak Was rozumiem! Życie nie nauczyło mnie radości i optymizmu — dało mi tylko pustkę, nieszczęście i zniechęcenie. Może Wy — zechcecie mi podać iskrę życiodajnego ognia?

»*Danuta*«.

WIOSENNE TARGI KATOWICKIE.

W czasie od 30. maja do 14. czerwca 1936 r. odbędą się na Śląsku tradycyjne ÓSME TARGI KATOWICKIE urządzane staraniem Śląskiego Towarzystwa Wystaw i Propagandy Gospodarczej (Katowice, Stawowa L. 14, tel. 300-71).

Targi Katowickie dążąc od wielu lat do utrzymania w ruchu rodzimych warsztatów pracy i wzmożenia konsumpcji — współdziałają w zwalczaniu przesilenia gospodarczego, zwiększają obroty i stwarzają liczne zarobki w wielu dziedzinach. Odbywają się one w najwyższym ośrodku handlowym tj. na Śląsku, a przemysłowcy i kupcy biorący w nich udział przygotowują sobie rynek, który we własnym ich interesie należałoby corocznie rozszerzać i powiększać.

Jest sprawą wielkiej wagi, **by krajowy towar jaknajliczniej mógł wskazać na tych Targach swą dobrą jakość i zalety nietylko wobec rodzimej klijenteli, lecz również wobec konkurencji i konsumentów z poza pobliskiego kordonu.**

Ten właśnie wysiłek należałoby poprzeć **zwracając szczególną uwagę naszych wytwórców, przemysłowców i kupiectwa, na potrzebę wzięcia przez nich czynnego udziału w VIII. TARGACH KATOWICKICH**, aby w ten sposób przyczynili się we własnym interesie do rozszerzenia propagandy i zbytu towarów krajowych.

WYDAWNICTWO ŚW. WOJCIECHA

RABSKI JANUSZ: »ALMA MATER«.

Tak mało wiemy o młodzieży akademickiej, to też z zajęciem wczytujemy się w tę powieść owianą optymizmem, pełną świeżości i barwnych opisów. Poznajemy radość, zapał i umiłowanie wyższych celów, złączonych z kulturą ducha, która panuje w tym świecie.

Rabskiego młodzież akademicka złączona w korporacjach, jest czysta, obowiązkowa, religijna, inna zupełnie od tej płytkiej, burszowskiej, wybujałej młodzieży z przed laty.

Dzięki tej powieści uczymy się patrzeć innem okiem na tych, których dotąd oglądaliśmy tylko zewnętrznie, stroskanych o los własny, zbiedzonych, walczących o byt, o bladych twarzach i lichym płaszczu.

DZIŚ I JUTRO

Pismo dla młodzieży

Rok XII. Kraków, luty 1936. Nr. 6.

DZIESIĄTY ROK

Dziesiąta karta się odwraca,
na czole Twem historja kładzie
znaków tyle.
Rytmiczny udar młotów śląskich
zegarom chce nadążyć w kuciu:
„dziesiąty rok“.
Kominy fabryk chcą oddychać,
Syreny gwizdać Imię takie,
co daje moc!
Na zamek płynie falą groźna:
cierpienia, nędzy — krzyk miljonów,
jak czarna noc. —
Zgłodniałe tłumy łakną chleba,
co krzepi ciało, krzepi ducha
i daje moc!
W Twój jasny wzrok wpatrzony naród
nadzieją żyje, uśmiechem jutra
dziesiąty rok.
Złe losy nasze rojne w bóle
weź w ręce dobre, daj nam chleba,
pracy wiele.
Zdobyłeś serca Polski całej,
masz moc nad nami, bierz młot i kuj:
szczęśliwy rok.

„I“

Siedziba Pana Prezydenta.

Na warszawski Zamek patrzymy zawsze z podziwem i uczuciem poszanowania, bo po tych samych korytarzach, krużgankach, komnatach stąpali Konrad Mazowiecki, Zygmunt August, Wazowie i ostatni Król Polski, wnosząc w te mury swoje przeżycia pełne chwały, lub tragizmu.

O ile sądzić można z resztek fundamentów i piwnic, które jeszcze do dziś się zachowały — Zamek założony został w końcu XIII w. prawdopodobnie przez Konrada II, ks. Mazowieckiego.

Ów najstarszy gród otoczony był murem, miał od strony Wisły kwadratową, potężną basztę Grodzką, pełniącą bezwątpienia rolę strażnicy a u rogu dzisiejszej ulicy Świętojańskiej — bramę Wjazdową, zwaną Żurawiem, z mostem zwodzonym, przenoszonym nad fosą.



Na sali malinowej nowy poseł Rumuński składa list uwierzytelniający.

Najświetniejsze czasy Zamku Mazowieckiego przypadają na wiek XIV, gdy Zamek stał się piękną rezydencją książęcą, o typowo średniowiecznym charakterze. Główne mieszkanie, t. zn. »duży dom«, ozdobione było pysznym frontem gotyckim (którego ślady dziś jeszcze są widoczne), sklepione piwnice kryły więźniów i służyły na składy starych miodów pańskich. Szerokie, ozdobne schody wiodły wprost z podwórza na pierwsze piętro, gdzie trzy wspaniałe komnaty podpierały słupy, rozchodzące się w sklepienia ostrołukowe, nakształt liścia palmowego. Jak we wszystkich zamkach z tych czasów, pełno w nim było wąskich, tajnych przejść, kręcone schodki w grubości muru wiodły na szczyt baszty Grodzkiej, inne prowadziły na wierzch muru obronnego, po którym przechadzali się strażnicy. Czerwona cegła, z której Zamek był zbudowany odbija się w Wiśle i barwną plamą wyraźnie odcinała się od ciemnej zieleni lasów, otaczających wtedy miasto.

Nowa świetność Zamku przypada na koniec XVI wieku, gdy król Zygmunt III Waza przeniósł stolicę Państwa z Krakowa do Warszawy. W ciągu 22 lat ukończono budowę nowego Zamku Królewskiego, który miał być odpowiednio wielki i wspaniały dla władcy potężnego narodu.

Zbudowano go w pięciobok modną podówczas formą dla tego rodzaju budynków, włączając stary dom w obręb nowego Zamku, nieco tylko przebudowany. Zamiast baszt wystawiono wieże kryte blachą złotą i czerwoną, znane dziś jako Zegarowa (od strony placu Zamkowego) i Władysławowska (w podwórzu głównem naprzeciw pierwszej). Dzisiejszy plac Zamkowy stanowił obudowane podwórze zewnętrzne, skrzydło boczne, biegnące wzdłuż rzeki, sześć bram ze wszystkich stron prowadziło w obręb zabudowań zamkowych. Nad bramą »od Dziekanji« (nie ruszoną od tych czasów) szedł zamknięty krużganek aż do loży królewskiej w katedrze, skąd król i królowa słuchali Mszy św. Niedaleko tej bramy znajdował się teatr królewski, o którym cuda opisywali współcześni. Pokoje królewskie były urządzone wspaniale, ale z umiarem. Użyto kamienia ciosowego i marmuru do obramień drzwi i okien, ozdobne piece ogrzewały komnaty, malowidło sławnego Dolabelli i obrazy Rubensa dekorowały ściany. Osobliwość Zamku stanowił piękny »pokój marmurowy«, wykładany tym kamieniem i basen do kąpieli.

Wnętrza te uległy jeszcze licznym zmianom, ale zasadniczy plan Zamku przechował się aż do dziś.

Zniszczony bardzo za czasów najazdu szwedzkiego, wielokrotnie przechodzący z rąk do rąk podczas szturmów na Warszawę, mieszczący w swych salach lazaret wojskowy

szwedzki — Zamek Królewski stał się znowu opuszczony, Jan Sobieski wolał mieszkać w Wilanowie, w swym ulubionym pałacyku.

Dopiero Sasi zamieszkali w nim ponownie, a August III Saski wezwał do pomocy wielu artystów polskich, niemieckich i włoskich dla dokonania przebudowy.

Najsilniejsze jednak piętno swej wysokiej kultury i prawdziwego artyzmu, pozostawił na obliczu dzisiejszego Zamku król Stanisław August Poniatowski. Ten na wielką skalę zakroił swój plan przebudowy, raziły go ciężkie i przeładowane sale Augusta III, postanowił utworzyć rzecz prawdziwie piękną.

Dwóch architektów: Fontana i Merlina, dwóch malarzy: Canaletto i Baciavelli — byli głównymi pomocnikami króla, który sam wszystkiem kierował.

Z jego czasów pochodzą, dziś do stanu tej epoki przywrócone: »Sala Canaletto«, wypełniona widokami Warszawy, pokój sy-



J. Em. Ks. Kard. Marmaggi z Dyplomacją składa życzenia noworoczne P.Prezydentowi na sali rycerskiej.

pialny króla, wykładany cisem, »Sala rycerska« z przedziwnym zegarem, wyobrażającym czas z kosą w ręku, zabawny, jajowaty »gabinecik konferencyjny« przy sali audjencjonalnej, z przecudną drogocenną posadzką i lustrami umieszczonemi tak, że zobaczyć w nich było można każdego, ktoby ośmielił się podsłuchiwać tajne narady. Jedną z wspanialszych była sala bibljoteczna, zamieniona później przez Rosjan na koszary, ohydnie zniszczona. Na



Pan Prezydent w otoczeniu Rządu wkłada biret kardynalski J. Em. Ks. Marmaggi.

wieży Zegarowej mieściło się obserwatorjum astronomiczne, skąd z zachęty króla oglądał gwiaździste niebo ksiądz Bystrzycki. Gospodarka zaborców odbiła się fatalnie na losach Zamku. Zrujnowano salę sejmową, obdarto z marmurów »pokój marmurowy«, przeniesiono fasadę od strony miasta.

Obecnie następuje odbudowa Zamku według dawnego wyglądu.

W ciągu swego siedmiowiekowego żywota Zamek Królewski widział wiele pięknych i wiele strasznych chwil.

Od końca XVI w. zbierały się tu sejmy polskie, zjeżdżała licznie szlachta i senatororowie, uchwalając prawa dla Rzplitej, lub kłócąc się i swarząc.

Tu w sali sejmowej bili czołem przed Zygmuntem III carowie Szujscy, prowadzeni w tryumfie za hetmanem Żółkiewskim z pod Smoleńska.

Tu sala sejmowa usłyszała poraz pierwszy »liberum veto« z ust Sicińskiego, ale była też świadkiem chwili, gdy tysiączne wiwaty na cześć króla, sejmu, narodu, — ogłosiły wiekopomną Konstytucję 3-go Maja 1791 r., to »liberum veto« znoszącą.

Kaplica Sasów na Zamku w chwili uroczystej Mszy św. z okazji wręczenia biretu J. Em. Ks. Kardynałowi Marmaggi.



Za panowania tegoż ostatniego, nieszczęśliwego króla Zamek Królewski był ośrodkiem kultury, oświaty, sztuki.

W jednej z sal, co czwartek zbierało się na słynne »obiady czwartkowe« grono najwybitniejszych umysłów, najcelniejszych piór i talentów epoki stanisławowskiej. Zaproszenie na taki obiad do króla było zaszczytnem wyróżnieniem, niejako pasowaniem na mistrzostwo w nauce, sztuce, czy poezji. W ten sposób król popierał młode talenty, szerzył kult dla wiedzy, zachęcał do pisania dzieł historycznych i badań naukowych, wyświadczając kulturze polskiej ogromne usługi.

Bywali tu członkowie komisji edukacyjnej: Chreptonicz, Piramowicz, Ignacy Potocki, biskup Krasicki, Naruszewicz, Karpiński, Kniaźnin, Zabłocki, Wojciech Bogusławski, Baciavelli.

Przy skromnym barszczu z pasztecikami i baraninie zakrapianej lekkiem winem, król rozmawiał z zebranymi, jak z równymi sobie przyjaciółmi.

Dziś po długiej przerwie mieszka znów na Zamku Polak i prawowita Głowa Państwa. Zmieniły się nieco formy życia w tej siedzibie, ale treść pozostała właściwie ta sama.

Zamek Królewski jest znów świadkiem wydarzeń historycznych. W jednej z najpiękniejszych jego sal, w sali rycerskiej — Pan Prezydent oraz członkowie Rządu podpisali dnia 23. IV. 1935 r. II konstytucję Polski Odrodzonej, co obwieściła salwa armatnia na Placu Zamkowym.

Jak niegdyś z wieży piastowskiego zamku, tak i dziś z siedziby Prezydenta Rzeczypospolitej — nad błękitem Wisły, nad miastem, nad całą Polską powiewa z wiatrem zwycięski sztandar: z Białym Orłem w czerwonem polu.

W przepięknej Kaplicy Sasów, tonącej w purpurze kardynalskiej, przyozdobionej godłami i sztandarami państwa, 4 stycz. b. r. odbyła się uroczystość wręczenia biretu kardynalskiego J. Em. Ks. Kardynałowi Marmaggi przez Pana Prezydenta.

Na Mszy św. odprawionej przez J. E. Ks. Biskupa polowego Gawlinę, zebrali się u boku J. Em. Ks. Kardynała Kakowskiego i J. Em. Ks. Kardynała Hlonda liczni Biskupi i wyższe duchowieństwo.

Przy Panu Prezydencie zajął miejsce Rząd, przedstawiciele Armji, Dyplomacja oraz Małżonki dostojników Państwa i kilka Pań z towarzystwa warszawskiego. Barwne galowe stroje Kawalerów Maltańskich i Szambelanów Papieskich nadawały tej uroczystości ton iście rzymski i przypominały odwieczną łączność Kościoła z państwem polskiem.

Sale Zamkowe od początku swego istnienia świadczyć mogą o tem, że Polska była, jest i będzie wierną Rzymowi.

Ścisłe, serdeczne i coraz cieplejsze stosunki Władz naszych ze Stolicą Apostolską zadokumentowują się w tem przyjaznem obcowaniu obecnego Nuncjusza z naszym narodem.

Nietylko Naród czci ale też otacza serdecznem przywiązaniem tego wysłannika Rzymu, który z taką przenikliwą miłością troszczy się o losy naszego kraju, usiłując czynić mu dobrze.

M. S. Słokowska.

CZEŚĆ WARSZAWIE!

Pośrodku kraju, jak serce Ojczyzny,
W postaci ziemi równinnej i żyznej,
Wznosi się główna naszych rządów nawa,
Stolica Polski — królewska Warszawa!
Przedchrześcijańskich czasów ona sięga...
U stóp jej płynie szara Wisły wstęga,
Zdobią pałace i czyny jak słońce —
Czasów ubiegłych i chwili bieżącej!
Tu się dokonał Akt Trzeciego Maja!
Tu — kajdanami wstrząsł czyn Podchorążych!
Tu się złamała bolszewicka zgraja!
Tu — myśl się skupia i ku gwiazdom dąży!
Stąd w świat triumfy poszły szalanżowe,
Stawiając Polskę na świeczniku świata!
Stąd promieniuje kultura, oświata,
Wre bujne życie i wyczyny nowe!
Na Starem Mieście **wczoraj** *godnie wita.*
W uliczkach, domach, na progu kościoła...
Nowsza Warszawa — jasna, złotolita,
Na czynne **dzisiaj** *zaprasza i woła.*
Kraj cały patrzy w oczy swej Stolicy,
Wszechposunięcia rozważa i liczy
I serce cieszy jej dostojną sławą...
— — — — — — — — —
Cześć ci, Stolico! Cześć — piękna Warszawo!

Jagienka z pod Lublina.

Jeden z wielu.

Artykuł ten oparty o fakt legendarny, napisany z talentem, drukujemy w naszem piśmie jako artykuł dyskusyjny – Pewne bowiem jesteśmy, że Czytelnicy zechcą się wypowiedzieć na temat tu poruszony i potrafią z punktu widzenia katolickiego osądzić czyn Aleksandrowicza.

Prosimy o zabranie głosu. Najlepsze odpowiedzi wydrukujemy

— Cóż to u pani Maciejowej taki rejwach?... Hę? Niby chrześcijańska kamienica, a gwałt jak na Nalewkach!

— A co mi pan Pieter będzie wydziwiał! Z cerkułu pan czy co! Chrześcijańska, chrześcijańska — przedrzeźniała okazała pani Maciejowa z rozmachem zamiatając ulicę — juści że nie żydowska ino samego wielmożnego pana rajcy Paździorka.

— I... pani Maciejowa to zaraz z pazurami do człowieka, żeby bele co powiedzieć. Ja tam nie mówię, kamienica jest niczego, a pan Paździorek rzetelny człowiek; tak się tylko spytałem, właśnie względem tego, że taki hałas w pana rajcowej kamienicy niezwyczajny. To mówiąc chudy jegomość pojednawczym ruchem podał stróżce otwartą tabakierkę.

Pani Maciejowa pociągnąwszy tabakę, zupełnie już udobruchana, z determinacją potrząsnęła głową.

— Ano, jak mi pan tak powiada, to jakże nie mam się użalić. Nic inszego jeno te studenty znowu breweryje wyprawiają. Pokarał nas Pan Bóg od św. Jana takiemi lekatorami. Ech, co to nawet za lekatory, dziady ostatnie, a hałaśniki takie, że rady sobie z nimi dać nie można.

— Ho, ho, studenty to teraz niebezpieczne ludzie! Młode to, głupie, tylko im awantury w głowie, a bójki. Żeby się aby pani Maciejowa biedy nie dopytała. W dzisiejszych czasach, — tu zniżył głos pochylając się ku stróżce, — w dzisiejszych czasach człowiek niepewny dnia ani godziny. Porządny obywatel, a siedzi jak mysz pod miotłą. Poco to zdrową głowę kłaść pod ewangelję? — Mało to naszych siedzi na Pawiaku?!..

— Prawda, święta prawda! Człowiek gorzej żyje jak ten pies na łańcuchu.

— Niedługo to już i żyć nie będzie wolno. Słyszała to pani Maciejowa, podobnież na Saskim Placu mają budować cerkiew. Sam dziś widziałem jak pomiary brali.

— Święta Anno, patronko mojej grzesznej osoby! A że też to nie ma jasnego pioruna na tych...... Na Saskim Placu!!! O rety, a to jakby w samem sercu Warszawy!.. Niedość że naród biedny katują, ale jeszcze cerkwie będą stawiali! O mój Jezu, dokądże będziesz pozwalał na takie zbereźnictwa. —

Hałas dochodzący z czwartego piętra wzmagał się — Pan Piotr podniósłszy głowę, z niepokojem nasłuchiwał.

Co się tam dzieje? Nie daj Boże rewirowy a byłoby, było...

— A no trza będzie lecieć na czwartak, a przemówić im do rozumu — zadecydowała z westchnieniem pani Maciejowa. I wprowadzając słowa w czyn, podreptała na górę.

Znać jednak otrzymana świeżo wiadomość wielkie na niej wywarła wrażenie, bo idąc po schodach, jeszcze mruczała do siebie. — A to gałgany! Jakem słaba niewiasta, to takbym ich sprała, choćby tą miotłą. Odechciałoby się im na katolickim placu cerkiew stawiać!..

— — — — — — — — —

W małej izdebce na czwartem piętrze ciemno było od dymu papierosów. Na stole o trzech nogach, na jedynem krześle, na łóżku, na stosach książek, wreszcie na podłodze, wszędzie siedzieli studenci. Na twarzach wypieki, w oczach rozgorączkowanie, na ustach płomienne słowa zapału, pod rozwichrzonemi czuprynami tysiące snuje się projektów! — Na pakę, służącą za mównicę wskoczył młodziutki brunecik.

— A zatem panowie, wniosek kolegi Trzeskiego upada, jedynie pozostaje do uskutecznienia plan kolegi Wrotnickiego. — Proponuję więc losowanie.

Głowy pochyliły się potakująco, przez izdebkę przebiegło jakby leciutkie westchnienie. Serca biły przyspieszonem tętnem. Nagle z kąta ozwał się cichy głos.

— Słuchajcie Wrotnicki, czy to aby pewny środek? Pamiętajcie, że to chodzi o życie!..

— Ależ najpewniejszy! Spytajcie się któregokolwiek prawosławnego.

— Tak, tak, — ozwały się głosy — na miejscu, gdzie popełniono zbrodnię lub samobójstwo nie może być postawiona cerkiew.

— Zresztą — tu Wrotnicki pogardliwie spojrzał na kolegę — jeżeli boicie się poświęcić dla Polski... ostatnie słowo wymówił szeptem — poświęcić się może nawet bezskutecznie, odejdźcie, nikt nie zmusza was do ofiar! Lecz ojczyzna patrzy na nas! — Elegancki, przystojny Wrotnicki wpadł w zapał oratorski, lubując się własnemi słowy.

— Nie lękam się ofiar, ani śmierci, ale mam małą siostrę i staruszkę babkę. — Nie mają nikogo oprócz mnie na świecie. Wiecie dobrze.

— Każdy z nas ma większe czy mniejsze obowiązki, ale to nie uwalnia nikogo od najświętszego obowiązku względem ojczyzny. Żałuje życia i waha się tylko tchórz! — namiętnie wykrzyknął Wrotnicki.

— Tchórz, tchórz, brat zdrajcy, sam zdrajca! — doleciało z kątów.

Aleksandrowicz nie tchórz i dobry kolega, — ujął się głos inny.

Aleksandrowicz spłonął gorącym rumieńcem. Brat jego jedyny, skuszony czy ugiąwszy się w męce, wydał kiedyś nazwisko kolegów z konspiracyjnego związku. — Choć potem krwią zmył winę pamięć hańby nie zginęła. »Brat zdrajcy!!!« — czyż mógł zaprzeczyć?

— Niech każdy będzie taki jak Aleksandrowicz, a ty pierwszy Wrotnicki!

— Zając, zając Aleksandrowicz!

— Baba!

— Cicho, uspokójcie się! Wrotnicki wstydźcie się, kłócić się i dokuczać wobec powagi takiej chwili!

— Najlepiej losujmy i rozejdźmy się już. Szkoda czasu i niebezpiecznie tak długo radzić.

Wrzucono do czapki białe kartki, jedna tylko była czarna. — Drżące nerwowo palce zanurzyły się w nich.

— Aleksandrowicz wyciągnąwszy swój los, nie miał odwagi spojrzeć w zaciśniętą kurczowo dłoń. Przekonany był w głębi duszy o bezowocności tych poczynań, uważał wszystko za brawurowanie, dziecinadę.— A jednak on, właśnie on, cofnąć się nie mógł. Koleżeńska wzgarda przylgnęłaby do niego na całe życie, tak jak pamięć zdrady brata przylgnęła do ich nazwiska.

Nagle ujrzał utkwiony w siebie przerażony wzrok kolegi. Wiedział już. — To ja... głos ugrzązł mu w gardle. Pociemniało mu w oczach. — Nie wiedząc kiedy i jak, znalazł się na ulicy. Potrzebował spokoju.

Muszę się uspokoić, nie mogę wrócić w takim stanie do domu — przebiegło mu przez myśl. Mimowoli skierował się w stronę kościoła, lecz przystanął wkrótce.

Jakże ja, przyszły samobójca mogę iść do kościoła!... I poszedł w stronę Wisły. Monotonny plusk fal i szary bezmiar wód, uspokoiły go. Uczuł nawet jakby pewną dumę, wszak miał zginąć dla ojczyzny, jutro będzie bohaterem, walczącym o honor narodu w niewoli. Jednak mimo wysiłku woli, mimo rozumowań, pierwszy raz poczuł w sercu pustkę.

— — — — — — — — —

Po jego wyjściu zawrzało w małym pokoiku. Omawiano sprawę Aleksandrowicza.

— Szkoda mi chłopa, zawsze był dobry kolega, uczynny!..

— Co to dobry, mało dobry, miał złote serce, a wolę stalową.

— Ostatnią koszulę oddałby biedniejszemu, rękę dałby sobie uciąć, żeby komu tego było potrzeba!

— Ale więcej nawet niż jego, szkoda mi babki. Jak one wyżyją!..

— Taka pobożna kobieta, pomyślcie czem dla niej będzie samobójstwo wnuka.

— Brr... mówcie sobie co chcecie, ale to nie tak miło przejechać się ni stąd, ni zowąd na tamten świat!..

— Swoją drogą nie trzeba było dopuścić do tego, żeby właśnie na Aleksandrowicza padł los. Są inni mający mniej od niego obowiązków, mogliby go zastąpić.

— Trudno, stało się!... »Nie pomogą próżne żale«!...

— Każdy umie dużo rozprawiać, ale jak przyjdzie co do czego...

Niemiły nastrój przerwało zjawienie się pani Maciejowej. Po ostrej wymianie zdań z wymowną stróżką, niedoszli bohaterowie poczęli cichaczem wymykać się.

Nie byli zadowoleni z siebie...

Życie było mu właściwie męką. W dzieciństwie przyzwyczajony do swobody, syn wsi, zamknięty potem w szarem, oszałamiającem mieście, dusił się jak ptak w klatce. Biedak poniewierany przez zamożniejszych kolegów, w szkole dręczony za to, że się urodził Polakiem, zawsze zapracowany, często głodny i obdarty, przebojem szedł przez życie, które go boleśnie smagało... Przebył ciernistą drogę; wcześnie stracił rodziców, brat nie mogąc znieść własnego upadku, pozbawił się życia. — Śmierć więc byłaby dla niego wyzwoleniem, a jednak... zadrżała mu ręka gdy nacisnął cyngiel rewolweru.— Żal mu było nawet tak nędznego życia!... Przyszło mu na myśl, że tyle rzeczy dziać się będzie, gdy jego nie stanie, że może wzejdzie nad Ojczyzną zorza wolności, a on jej już nie zobaczy; że takim jak on błyśnie lepsza dola, gdy jego już zabraknie. — Poczuł lęk przed tem nieznanem, które go czekało!...

Drzemiące na dnie duszy, wpajane w dzieciństwie prawdy religijne, teraz obudziły w nim obawę samobójczej śmierci. Od chwili wyjścia od Wrotnickiego, czuł się ogłuszony niespodziewanym losem, jaki przypadł mu w udziale, był jakby odrętwiały, nie zdawał sobie nawet dobrze sprawy z tego co go czekało. Teraz dopiero ogarnęła go żądza życia!... Żyć, żyć, za wszelką cenę żyć!...

Lecz oto znów zawładnął nim okrutny przymus własnej woli, obowiązek... Czuł, że jeszcze chwila, a nie zdobędzie się na najlżejszy ruch... Ostatnim więc wysiłkiem spuścił cyngiel. — Huknął strzał! Poszło głuche echo wśród pustych ulic! — Wysoka postać studenta runęła na bruk, wzniecając tumany kurzu. — Szary pył osiadł powoli na stygnącem sercu...

— — — — — — — — —

Na odgłos strzału z mroków nocy wynurzyły się postacie żandarmów.

— Kakoj czort tłucze się po nocy?... Wasyl, Wasyl, patrz tu jakiś samobójca!

— A psubrat! — zaklął rozwścieczony żandarm, końcem buta dotykając martwej ręki, z której wymknął się browning. — Proklatyj Lach, ot będzie nam od batiuszki! ot, będzie nam od batiuszki! — nie miał gdzie się zastrzelić, tolko tu. — Przykazał strzec placu, jak oka w głowie, taż tu mają budować dom Pański!...

— Wiesz co Wasyl, zaciągnijmy go w Aleje. Tam ma dziś dyżur mój znajomek, on pozwoli zostawić go na ławce. Zawsze mniejszy będzie kram jak go tam, a nie tu znajdą.

— Ty ruski człowiek, tobie może i przepuściłby batiuszka, ale ja Polak, to mnie urwałby głowę.

— — — — — — — — —

Wczesnym rankiem dnia następnego zwłoki samobójcy pogrzebano pod murem cmentarza. Koledzy zasypali mogiłę kwiatami, staruszka i dziecko zrosiły ją łzami. — Z nadejściem jesieni z kwiatów pozostała garść zeschłych listków, które rozwiał wiatr, a na Saskim Placu wznoszono mury cerkiewne.

Minęły lata. Na ulicach Warszawy ożywiony ruch! Przeciągają oddziały wojska, snują się długie szeregi ochron i szkół. — Kto żyje spieszy na Plac Saski, bo dziś ma się odbyć pierwsze nabożeństwo w nowym soborze. Jedni dążą tam dla modlitwy, lecz tych jest niewielu, inni dla okazania swej lojalności lub zmuszeni i tych było więcej, wreszcie ostatnich pchała tam tylko ciekawość i tych była najliczniejsza rzesza.

Dnia tego tylko jeden człowiek był zdenerwowany i bez humoru, sam świątobliwy Joan Kronsztatski. — Doszła do niego dziwna i prawie nieprawdopodobna wieść, że w miejscu, gdzie stanęła świątynia, popełniono samobójstwo. Wezwany batiuszka niestety potwierdził tę wiadomość. Starał się uspokoić świątobliwego ojca, zapewniając, że wie o nim tylko dwóch żandarmów, którzy będą milczeć, lękając się kary.

Mimo tych zapewnień Joan wsiadając do karety, mającej go zawieść do nowego soboru, szepnął do batiuszki — »Zlekceważyliście prawo boże, musi więc Bóg zesłać za to karę«. — Gdy zadzwonią dzwony w nowym soborze, zadrży w posadach cesarstwo rosyjskie!... I stało się, jak przepowiedział świątobliwy sługa boży Joan.

Upadł carat, a na miejscu przepojonem krwią Aleksandrowicza, odprawiono nabożeństwo za wiernych synów Polski, poległych w jej służbie.

Dziś o samobójcy zaginęła pamięć, jak o niejednym z tysięcy bojowników, walczących za wolność.

Może tylko czasem szemrzą o nim fale Wisły, może szumią drzewa w Saskim Ogrodzie, lub w noce księżycowe gwarzą cichutko mury Starego Miasta!...

L. M.

Zapach chleba.

(Dokończenie).

Widzi. Matka idzie schylona od drzwi do stołu. Niesie na dłoniach bochenek chleba. Chleb pachnie w izbie. Matka przełamuje go w wysiłkiem. Obydwie połowy kładzie ostrożnie na stole. Zapach wzmógł się. Poranne słońce wchodzi przez gąszcz fuksyj na oknie do pokoju. Powleka rozłamany chleb złocistą patyną.

Karlik nie ma siły ocucić się zupełnie. W półśnie patrzy wciąż na matkę. Jej oczy są ogromnie błękitne. Jak u małego dziecka. Patrzy teraz na niego i myśląc, że śpi, podnosi palec do ust i sama sobie mówi: — Pst!..

Przyszła nowa fala ciepłego snu, Karlik utonął w nim.

Kiedy powtórnie rozchylił powieki, ujrzał słońce na stole, a w słońcu wciąż tamten rozłamany, pachnący chleb. Obok siedziała matka na krześle. Widzi tylko jej dłonie. Patrzy na nie jakby je pierwszy raz w życiu zauważył.

Stare dłonie leżą na oparciu krzesła. Znużone, pomięte, spracowane za wszystkie czasy.

Słońce zstąpiło ostrożnie z rozłamanego chleba i dosięgło krzesła. Oparło się na dłoniach. Wtedy dłonie ożyły, nabrały blasku i zatliły się wewnętrznym płomykiem. Splątana siatka żył pogłębiła się, zbłękitniała jeszcze bardziej, rozmnożyła w drobne bruzdki, a pomarszczona skóra przemieniła w wypłowiały atłas. Cisza nastała koło nich i świąteczne zamyślenie.

Stare dłonie matczyne są już bardzo stare. Tak stare jak ludzkość. Dlatego dobrze im dzisiaj odpoczywać w słońcu. Prawie tak samo jak człowiekowi, co sterany daleką, kamienistą drogą, usiadł w cieniu przydrożnym.

Stare dłonie matczyne niosły w sobie zawsze serce, a obok serca chleb z najbielszej mąki pszennej wypieczony, miodem zarobiony, sycący i błogosławiony. Serce było czerwone i jarzące się jak czerwona lampa oliwna zamknięta między palcami. W sercu zaś zamknięta miłość tak wielka i tak głęboka, jak już nic innego na świecie. Dłonie szafarzyły nią rozrzutnie, po królewsku, niewyczerpanie, serce zaś wciąż trwożyło się, że może zamało tej miłości dla tych, komu przeznaczona była. W każdym najmniejszym ruchu dłoni matczynych mieściła się niedosiężna głębina miłości. Czy wyciągnięte do kolebki, gdzie dzieciątko spało, czy ujmujące wątłe jego ciałko, czy też gładzące rozwichrzoną czuprynę dużego już dziecka, czy też żegnające na drogę, kiedy jej dziecko wybierało się w daleki świat — zawsze było w nich serce. Takie dziwne matczyne serce, jakiego już nigdzie nie można uświadczyć między ludźmi.

— A może u tamtej dziewczyny? U panny Kazi? — pomyślał lecz nie znalazł w sobie odpowiedzi.

— To jest inne serce! — uświadomił sobie po chwili. Nie takie, jak matki. Serce matki bywa czerwone i jarzące się jak czerwona lampka oliwna. Oczami zwykłemi próżnoby je wypatrywać. Nicby nie dostrzegały w dłoniach, prócz tych chropowatych zmarszczek, twardych odcisków, śladów tyloletniej pracy.

— Mamo, pokaż mi twoją dłoń!.. — przyszło wspomnienie do niego.

Matka podaje rozwartą dłoń. A wtedy wydaje się, dłoń uśmiecha się zupełnie tak samo jak te szare oczy matczyne. Mały, lekki palec dziecka gmera w ich zagłębieniu.

— Warzyła myszeczka kaszeczkę. Tobie dała, tobie też... — szeplenią niezdarne słowa dziecka, a serce matczyne ponsowieje i wzbiera umiłowaniem, jak niebo wschodzącem słońcem.

— Mamo, ludzie mnie skrzywdzili!.. — skarży się jej duże dziecko.

Szły wtedy dłonie matczyne do dużego dziecka, jako widomy znak ukojenia, co przebaczyć i zapomnieć uczy. Garnęły wtedy stroskaną głowę do piersi, a obolałe palce błądziły lekko, leciuchno po włosach i po skroniach dużego dziecka. Z palców sączyła się miłość niewidoczną strużką.

— Mamo, a czy można w ludzi wierzyć? — pyta się duże dziecko.

Chropowate dłonie ujęły twarz dużego dziecka. Za skronie miękko ujęły i podniosły tak, żeby oczy jego patrzyły w oczy matki. A wtedy cud się czynił, bo ze starych dłoni schodziła cisza i wiara.

— Matko! Z Bogiem!.. — żegnał się z matką, kiedy w daleki świat ruszał.

— Z Bogiem, synku mój najmilszy!.. Z Panem Bogiem!.. — szeptały wtedy matczyne usta, a stare dłonie czyniły krzyż za odchodzącem dzieckiem. Polecieć pragnęły za niem, przywołać je napowrót, żeby jeszcze raz przynajmniej dotknąć jego dłoni i twarzy, a potem opaść w załamaniu jak wywichnięte skrzydła ptasie. Mijały dni, tygodnie, miesiące i lata, a stare dłonie matczyne zamykały się podniesione w kształt modlitwy, na które nie znajdzie nikt słów w ludzkiej mowie. W ciszy samotnego wieczora więdły słowa matczyne, gdyż piołun był w nich i smutek. Stare dłonie zaś bieliły się złożone ponad siwą głową, sięgały Boga, łaski Jego dopraszały się, o zmiłowanie żebrały i krzyczały w męce wielkiej, bo lęk zbójecki spadał na serce. Serce zaś truchlało, że gdzieś dziecku krzywda dzieje się na świecie.

Stare dłonie matczyne niosły w sobie chleb z najbielszej mąki pszennej upieczony, miodem szczodrze zaprawiony, sycący i błogosławiony. Żeby dziecko głodu nie zaznało, żeby rosło zdrowe i syte po wszystkie czasy. Męczyły się w upartej pracy, chropowaciały od sękatego styliska, wykrzywiały się palce w niezdarne pałąki, mokły od rana do wieczora w balji, łuszczyła się skóra na ogniu, twardniała i krwią zabiegała przy ładowaniu węgla, kurczyła się boleśnie skłuta i poraniona i bezustanku mozoliły się dłonie w zdobyciu owego pszennego chleba dla dziecka. Chleb bywał czarny, lecz w dłoniach matczynych przemieniał się w najbielszy chleb pszenny, którem jej dziecko swój głód ciszyło.

Błogosławione są stare dłonie matczyne i błogosławiące do ostatniej godziny.

Oto teraz odpoczywają w słońcu na poręczy krzesła oparte, radujące się odpoczynkowi. Matka jak człowiek, co przemierzył nieprzejrzany szlak kamienistej drogi, a teraz odpoczywa, gdyż już jest u celu.

— Mamo!.. — rzekł cicho Karlik, przechylając głowę do matki.

— Co, rybeczko moja złota, co?.. — zapytała, podnosząc głowę z zamyślenia.

— Chleb przyniosłaś?

— Chleb!.. To dla ciebie!.. — rzekła. Popatrz, jaki piękny!..

Wzięła rozłamany chleb w dłonie i podeszła z nim do syna. *G. Morcinek.*

MATKA.

Przyszedł do niej jednego dnia i rzekł: odchodzę.
Za oknem dzień był złoty, rozgrzany od słońca
I z niebieskiej oddali szła po białej drodze
Nieprzytomna, jaskrawa wiosna, bujna, pachnąca.
Urzekło go wiosenne słońce i ziemia zielona —
(Duszę miał mocną, hardą i ciało ze stali)
Dusił się. Chciał sił spróbować, rozprężyć ramiona,
Cały świat wyzwać, schwycić, zmiażdżyć, obalić.
Pomyślała: Uczyłam go pierwszej piosenki,
Spowiadał mi się z każdej chwili i z każdej godziny,
A dziś stoi przedemną inny, obcy i nieznany..
I zasmuciła się (był kiedyś taki słaby i maleńki..)
I pomyślała: trudno, mój jedyny.
I powiedziała smutno: więc idź mój kochany.
— — — — — — — — — — —

Któregoś dnia, po wielu dniach powrócił.
Za oknem czas był słotny, mglisty i jesienny
I szary mrok deszczowy po łąkach się włóczył
Zapamiętany żalem i smutkiem bezdennym.
Ukląkł przed nią. Głaskała rozwichrzone włosy
I dziwiła się, że wyblakłe są i posrebrzane —
Nie pytała i on nie mówił jakie były jego losy,
Ale twarz miał zoraną bólem i plecy zgarbione.
I pomyślała o dniach tęsknoty i męki,
O rozpaczy z jego powodu i z jego przyczyny,
O nieprzespanych nocach i łzach wypłakanych
I zasmuciła się (jak to dawno było kiedy był maleńki...)
I pomyślała: trudno mój jedyny
I powiedziała płacząc: zostań mój kochany.

Halina Łuczyńska.

Jak to było?

— Jak to wtedy było?

— Oh, bardzo wesoło!

— Czy weselej jak teraz?

— Czy weselej, tego nie wiem, w każdym razie inaczej.

— Inaczej, dlaczego?

— No, bo ludzie wtedy inaczej żyli, inne mieli upodobania, zwyczaje.

— Wtedy, to znaczy kiedy?

Sto, dwieście, może trzysta, czterysta, pięćset lat temu karnawały bywały huczne i trochę inne, jak teraz.

— A skąd się wogóle wzięła ta nazwa karnawał?

— Hm, »wogóle«, czy nie »wogóle«, dość, że »wzięła się« od słów łacińskich: caro — mięso i vale — bywaj zdrowe, bowiem nazwę karnawał początkowo stosowano tylko do ostatnich dni przed Popielcem, do dni, w których z wielkiem zapamiętaniem żegnano się z mięsem na długi okres ostrego Wielkiego Postu. U nas w Polsce okres ten ochrzczono bardziej swojsko nazwą »Mięsopust«. W niektórych okolicach przyjęła się też ludowa nazwa »kusaki«, »kuse dni«, gdyż dni te tak miłe były, iż zaiste za krótkiemi, »za kusemi« wydawały się ludziom w stosunku do szarych dni całego roku. Niektórzy chcą widzieć w tej nazwie: »kuse dni« upamiętnienie kuszenia Pana Jezusa przez szatana czyli »kusego«.

— Ojej, dosyć, dosyć, nie jestem już ciekawa innych nazw, bo jak się rozgadasz o nazwach, to mi nie zdążysz opowiedzieć, jak się wówczas ludzie bawili?

— Jak? Urządzano rozmaite przebierania, reduty, maski, pochody, kuligi! Ten zwyczaj przebierania zapożyczono ze wschodu. Przedostał się on do nas za pośrednictwem słowiańskich obrzędów wiosennych.

— Opowiedzże mi wreszcie o tych redutach i kuligach!

Przeczytaj to sobie z »Popiołów« Żeromskiego lub »Trylogji« Reymonta, znacznie więcej skorzystasz niż z mego opowiadania.

— Eee, dziękuję. Myślałam, że dowiem się od ciebie czegoś ciekawego, a ty mnie częstujesz dawno mi znanemi opisami. Coś mi się zdaje, że nie jesteś w nastroju i nie chce ci się mówić!

— Zaraz, zaraz, nie spiesz się tak z sądem! Odesłałam cię do opisów zabaw szlachty, ale mam zamiar powiedzieć ci coś niecoś o zabawie karnawałowej kmieci i drobnego mieszczaństwa, zwanej śmiesznie »podkoziołkiem«.

— Podkoziołek? Czy to z niego wyśmiewał się kiedyś Nowakowski?

— A tak wyśmiewał się, choć niezupełnie słusznie, bo to była bardzo miła zabawa. Ze względu na miejsce do tańca, zabawę podkoziołkową urządzano w ostatni wtorek w karczmie, lub w ostateczności u gospodarza posiadającego dużą izbę. Zebraniem środków na urządzenie zabawy zajmowały się starsze kobiety i one to bywały głównemi inicjatorkami wieczoru. Datki ściągano w pieniądzach i w naturze.

— Jakto »ściągano«?

— No, tak najprościej w świecie ściągano, zmuszając upatrzone »ofiary« do okupienia się na rzecz zabawy. Coprawda ofiary nie uważały się za bardzo pokrzywdzone i z chęcią znosiły swój los, ba, raczej nawet czułyby się pokrzywdzonemi, gdyby je taki »los« ominął.

— A kim były te ofiary?

— Przeważnie młode mężatki, które w ostatnim roku zamąż wyszły i młode panny, które w karnawale zamąż nie wyszły.

— A co z tym podkoziołkiem?

— Czekaj, czekaj! Gdy babiny wyskakały się już dostatecznie, podjadły sobie, wówczas w świetnych humorach zabierały się do przygotowania drugiej, właściwej zabawy na wieczór. Śpiewając znaną piosenkę o »upartym koziołeczku i babuleńce«, ubierano podkoziołka. Była to kukła ze szmat i skóry umieszczona na trzech patykach na beczce. Pod kukłę kładziono talerz na datki dla muzykantów i całą beczkę ustawiano koło grajka. Podkoziołek miał być prawdopodobnie symbolem upartej dziewczyny, która w karnawale nie chciała wyjść zamąż i teraz będzie musiała okupić się za to. Usta-

wiano też wiele innych zabawnych pułapek, np. nad drzwiami wieszano umocowane na sznurku sito z popiołem, zaskoczony gość był tak długo osypywany popiołem, póki się nie wykupił. Gdy wreszcie zebrało się dość młodzieży, zaczynały się tańce. Wszelako za taniec nie płacił grajkom jak zazwyczaj chłopiec, ale dziewczyna, która przy akompanjamencie wesołych śpiewek musiała oto złożyć swą ofiarę na talerzu »podkoziołka«. Ale i wtedy nie obyło się bez śmiesznych sztuczek; np. sprytna dziewczyna przymocowywała monetę na nitce do sukienki i choć ją ze stukiem rzuciła na talerz, przy pierwszym ruchu pociągała ją ze sobą zpowrotem. W niektórych okolicach w czasie zabawy zjawiały się różne fantastyczne postacie: np. Zapust i jego sługa osioł, zwani też inaczej Bachusami, »koza«, »niedźwiedź« i t. p. Postacie te dowcipnemi przemówieniami własnego układu, pobudzały wesołość i chojność zebranych i zachęcały do większej ochoty. Zabawa szaleje w całej pełni, gdy w tem... północ bije! Muzyka milknie. Gospodarz zrzuca kijem czapkę z głowy grajka, niby to, ścinając mu głowę. Gospodyni wnosi garnek dymiącego żuru i obnosi go wśród śpiewu po izbie. W Krakowskiem pojawiała się nawet szczególna postać »Pana Żurowskiego«, który obsypywał popiołem i bił rózgą uczestników zabawy, aby w ten sposób przypomnieć im o zaczynającym się Wielkim Poście.

— No, tak. Niewiele to, lecz przynajmniej choć coś niecoś się dowiedziałam. Narazie mi starczy!

— Narazie?

— A co ty sobie myślisz, że dam etnograficznej mądrości odlegiwać się w twej głowie? O nie, niedługo znów będziesz musiała spłynąć na mnie! Solennie ci obiecuję, że wkrótce znowu pociągnę cię za język!

— Dobrze, już dobrze, ale nie wcześniej, jak na Wielkanoc.

Marja Lipińska

GDZIE JESTEŚ ŻYCIE?

Promień gorący powieki przedarł,
ślizgał się wokół po miękkich dołach,
stopy oplatał wyniosłym szczytom,
tonął w przepaściach i szukał życia.
Poranek mglisty,
zaspany świat,
a on chce życia
i szuka złud...
Płyną powoli oślizgłe mary,
ciągną palcami powieki senne,
promień już gaśnie, nie daje życia,
życie go szuka, on życie gasi.
Gdzie jesteś życie?
gdzie urok twój?
W uśmiechu jasnym —
tam urok twój?
Przyszło południe, buchnęło żarem,
uśmiech się rozlał, zcałował promień,
życie wróciło na górnych szczytach,
promień całował uśmiechu życie.
W promieniach słońca
uśmiechy drżą.
dwa płatki śniegu
całują się.

Słońce południa roztapia płatki,
bieli już niema, spłynęła łzami...
Warczy i huczy wezbrany potok,
pieśń go kołysze uśmiechu snami...
Już jesteś życie!
Jest urok twój:
radosny uśmiech —
łzy czystej zdrój!

„I“



Na Zaroślaku.

Czuwaj Staśka!... A więc jeszcze dziś w nocy, a nie zaśnij przypadkowo!...

Oczywiście chwila naprawdę uroczysta... Ba... Sensacja!... I to w dodatku, w »wielkiem« mieście Stanisławowie...

My narciarki, wprawdzie tylko 3 idziemy szukać śniegu... Wszystko jedno, niech się dzieje co chce... Dłużej nie można... Choćby nawet i w Alpy (przepraszam... działanie chwilowego popędu młodego zapału)... Mamy jednak nadzieję, że śnieg gdzieś musi być w górach i my stanowczo my, nikt inny musimy za wszelką cenę go znaleźć...

Inna rzecz, że na moją propozycję patrzono jak na jakiś pomysł iście z domu warjatów pochodzący, (nic dziwnego w taką chlapę, gdzie nikt nie patrzył i nie marzył o śniegu). Trudno, przecież i w Tatrach nie było śniegu i trzeba było szukać go na Kasprowym, wreszcie w Dol. Pięciu St. Pol... Dlaczegoby nie miało go być na Howerli (2051)?

Dworzec... Na dworze mokro, zimno, wiatr z deszczem tnie... Mimowoli wpadam na kiwającego się kolejarza, który jak widzę ma zamiar kląć, ale podniósłszy na mnie ślepia, i odpowiednio otworzywszy gębę, niestety zaniemówił i jeszcze szerzej ją otworzył... Hm Wcale dobry wynalazek te narty, nawet i w słotę robią swoje...

Do odejścia pociągu mam jeszcze pół godziny czasu. Przyszłam naumyślnie wcześniej, bo kto wie jakie tam „one" tego roku? Może trzeba się będzie jeszcze po nie wybrać? Ale moje nader »tragiczne« rozmyślania, przerywają słowa, wypowiedziane szeptem i swoistym »pięknym« djalektem (do którego z czasem można się przyzwyczaić) przez jakąś paniusię:... »Joj ta patrz pan taka młodeńka a już durna... Abu ja panu słowu ni daji co tego roku bendzi albu bitwa albu i coś gurszegu? Nu ni? Powidz pan... Jak żyjim tu w Stanisławowi swoji trzydzieści sztyry lata, tak żadnyj zimy tak ludzi nie warjuwali jak tegu roku«... Ryknęłam śmiechem na te wesołe uwagi co do mojej persony, wypowiedziane przecież tak przerażonym tonem i jednym tchem, że nawet najgadatliwsza »stryna« w Poroninie nie dałaby jej rady... »I to si jeszczy śmieji taka szmarkata, ludzi jaka tu teraz ta młodziż! — »Ta cichu, cichu, uspokój si pani! Jeszczy ta mała si zamachni i nam si oberwi po głowach« — wmieszał się do dyskusji ów kolejarz, na którym to próbowałam brać »przeszkody« u wejścia... Już jednak nie słuchałam tego, tylko poważnie zabrałam się do szukania po różnych kątach »tamtych...« Pomogła mi w tem owa paniusia, bo za chwilę rozdarł powietrze nieludzki ryk: »Boży świenty mój! A tu co, nie wytrzymam! Patrz pan! znowu tam dwa stojum w konci«. Ludzie coprędzej wybiegają z restauracji żądni sensacji... Korzystając z zamieszania, przepycham się do nich... »Jaśka, warjacie! sierdzimy się tu na ciebie już od pół godziny, myślałyśmy, że nas masz ochotę wykiwać, bo to do ciebie w każdej chwili podobne«... Przepychamy się z trudem do wejścia, w koło tej pani zebrał się tłum ludzi, bo rozprawiając z ożywieniem — zemdlała ze wzruszenia, nad dolą »bidnych warjatów«. (Uff, takich typków więcej, broń nas Boże...) Nad morzem głów fruwają jeszcze 4-te narty... Patrz Staśka, jeszcze jeden jakiś »bidak« jak my — wyrywa się mimowoli... Ale zaciekawionie przystajemy kto to może być?... Przepycha się do nas kobieta — Renata!... — wyrywa się z ust Gieny... Oczywiście teraz sama sobie przypomniałam, że to stara znajoma... Co ty tu robisz?... A no jakto, przecież jadę... Gdzie?.. A no, na Zaroślak. U nas w Warszawie śniegu ani na lekarstwo. Cóż było innego do roboty?...

W pociągu nowe oględziny, ale już mniej dokuczliwsze... Renata ma na swojej olimpijce jako znana zawodniczka, znak warszawskiego A. Z. S-u... A więc znowu »joj ta ona aż z Warszawy«... Pociąg jedzie szybko, już robi się potrosze i jasno. Żałujemy mocno, że nie możemy oglądać cudnych widoków, znanych nam dobrze, ale zawsze innych. Na każdej stacji wystawiamy łapy, by stwierdzić, »czy co nie pada«... Ale żeby... Nic — nawet deszcz został w Stanisławowie...

Worochta!!! Zbieramy się szybko... Staśka, mróz — wyrywa mi się z gardzieli... Tak,

naprawdę zimno, maluśkie płatki śniegu bielą się jedynie na Perechreście, (na którym to Zakopiańcy łamali deszczułki no i karki).... Kiczerka, »centkowana«, cała różowa od promieni wschodu... Ale niema czasu na rozmyślania, bo czujemy, że jeszcze sekunda, a kolejka nam wyrwie... Niema co, puszczamy się pędem w stronę tartaku (tylko 4 km.)... Ledwie zdążamy, bo już ucieka... Pędzimy jak warjaty!... No, poprostu bosko! Marzną nam nosy, a tu do Foroszczenki jeszcze 30 km.... Śniegu coraz więcej... Rozkoszujemy się myślą, że jeszcze te 6 km. co nam zostaje od Foroszczenki będzie można podejść do schroniska P. T. T. (Pol. Tow. Tatrz.) na nartach... No, ale wszystko skończyć się musi i nasza miła jazda kolejką skończona... Stajemy — »my już wczoraj takich wo samych zawieźli«, tłumaczy tonem pocieszenia (spodziewając się dostrzec w oczach rozczarowanie) pan motorowy... Zwijamy się, plecaki na plecy, narty na nogi i puszczamy się pędem w górę... Słowo daję pod hajrem, idzie się jak po maśle... Wprawdzie śnieg nie nadzwyczajny, ale dla nas spragnionych jego widoku, jego charakterystycznego chrzęstu, zdaje się być... rajem...

Szurają miarowo dechy po zmarzniętym gipsie, nawet nie pozostawiają nikłego śladu...

Po chwili jesteśmy już w schronisku... Termometr pokazuje plus 14 stopni, ale śniegu 65 cm., rozkosz!... Zostawiamy plecaki na sali, a nie mogąc już powstrzymać,





głodu zapychamy usta prowjantem (bo naczczo to niebezpiecznie), przypinamy dechy, ostre odepchnięcie się kijkami, jesteśmy już na dole u potoka... Staśka zawsze trochę ostrożniejsza, siada... (zresztą dobra wcale narciarka, za pierwszym razem to się daruje)... Ta tymczasem mocno zawstydzona, zaczyna się tłumaczyć i przyrzekać, że to ona nie winna... Ktoby tam tego słuchał? Słonko zaczyna prażyć tak na fest! Ponieważ idziemy tylko w koszulach płóciennych i spodniach, podwijamy rękawy całkiem i tak poddajemy się działaniom promieni słonecznych. Idziemy na Kozły (coś 20 km. w jedną str.), strasznie przyjemna wycieczka!... Na pierwszy raz wybieramy naumyślnie taką, by się odrazu nie przeforsować... Trasa prowadzi cienistym holwegiem, z którego jednej strony słońce operuje... Ale oto »nie miała baba kłopotu«, jak to się mówi, śnieg miejscami staje się niemożliwy i wcale nie można zjechać ani też podejść... Wychodzimy na mostek i droga teraz uciążliwsza prowadzi wzdłuż otwartej przestrzeni, zasłoniętej w dali masywem Breskuła, i Kotłem ś. p. Garapicha... Zaczynamy powoli wspinać się na Porzerzeską, szczyt stosunkowo mało uciążliwy, niestety na samym szczycie, trawa zupełnie goła... Zjeżdżamy teraz w dół na małą polankę. Cała zalana słońcem, aż się żal »ruchać«. Następnie mamy trasę zupełnie »do rzeczy«, no i wyśmienitą! Holweg cały

w śniegu, zaś brzegi jego wzniesione są wolne od śniegu i widać śliczny szmaragdowy mech z kropelkami wody mieniącemi się w słońcu nie grudniowem ale lipcowem poprostu!...

Widok cudowny ale niestety naświetlenie zbyt małe by móc »pstryknąć« z aparatu... W dali widnieje staruszek Homuł (szczyt)... Ścieżka niemożliwie się pochyla w stronę przepaści, wiemy już z doświadczenia, że to najgorsze przejście... Niestety śnieg jest taki, że lada posunięcie może stworzyć lawinkę, mającą jednak na tyle siły by nas zmieść jak pchły do przepaści... Z wielką ostrożnością przechodzimy jednak szczęśliwie... Dalsza droga nie przedstawia żadnych trudności i jest zresztą b. przyjemna... Jednak w małym kotliczku, zaczyna »wirować«; pozimniało nagle i zrywa się mały halniak. Prędko naciągamy wiatrówy, ale i one miotane przez wiatr (nie wyłączając i ich właścicielek), nie zatrzymują wiele ciepła...

Wyrywamy co sił wystarczy, żywiąc w myślach nieśmiałe nadzieje, że tam dalej będzie trochę lepiej...

Na dole mały kotliczek zasłonięty świerkami jest przyjemniejszy... Zbliżamy się do polanki zwanej Przedkoźle... Spostrzegamy że jest tu zupełnie inny śnieg i to w dodatku wyśmienity do ćwiczenia... A więc obiecujemy go sobie »na potem« i idziemy dalej... Krzyk Staśki odrywa nasze zachwycone oczy od widoków »O... O... Niedźwiedź ich goni« — rzeczywiście widzimy jakieś postacie śmigające z góry, a za niemi biegnące co sił jakieś stworzenie... Zapalczywa Gienka namacuje w kieszeni rewolwer (żadna z nas nie przyznawała się do jego posiadania) inne czynią to samo... Ale one patrzą doprawdy okiem »ceprów« mnie się całkiem do tego nie śpieszy.. Coś ten wilk czy niedźwiedź (mogący się nawet obudzić i wyjść z gawry na spotkanie ciepła) nie wydaje mi się prawdziwym... Tembardziej, że ci ludzie zaczynają sobie powoli »alpinkować«, co na strach absolutnie nie wygląda...

Za chwilę przekonujemy się, że to nie żaden »zwirz« jeno Flituś pies schroniskowy. Widocznie i on miał ochotę zakosztować przyjemności wycieczki w wiosennem słońcu. O bo Flituś to nie byle co!... O nim to we wczorajszym artykule w jednej z gazet, zatytułowanym »Biała śmierć grozi trzem narciarzom w górach« napisano »psy owczarskie«... On to wyruszył z ekspedycją szukającą zaginionych akademików, którzy wyruszywszy ze schroniska na Turkuł (coś 2 godziny podejścia) nie wrócili tego dnia wieczorem ani też następnego... Niestety dobre chęci Flita nie zostały uwieńczone laurem pomyślności, bo wrócił tak jak i jego panowie z niczem... Dopiero w trzeci dzień nieobecności wrócili owi »Straceńcy« do schroniska, opowiadając swoje przygody.. Otóż zbłądzili, i już całkiem w nocy, wjechali w gęsty las... Resztkami sił go przeszli i tam znaleźli jakiś mały domek, tam to się dowiedzieli, że są już w Czechosłowacji.

No ale oto Kozły... Już pierwszy szczyt przechodzimy... idziemy dalej, no i rzecz zrozumiała, że Kozły zaczynają pokazywać »rogi«. Na taki to róg mamy ochotę zrobić wyprawę... Widok cudowny!... Na niebie pokazują się niewiele dobrego wróżące chmurki... Musimy się śpieszyć, by nie wpaść w dość mocny halniak... I tak to zakończyła się nasza treningowa wycieczka...

Wieczorem w schronisku spotkałyśmy dwóch Węgrów, z których jeden okazał się moim znajomym ze Zlotu... Próbowali mówić po polsku, no i za każdem słowem wybuchali razem z nami śmiechem, z tego co powiedzieli... Młodszy z nich opowiadał: »założyliśmy się kto pierwszy zjedzie z Howerli i mój »kamrado« się potknął i zkoziołkował jakie 50 m. na dół«.. »ja się patrzę a on dopiero pomału zjeżdża«... Mówił drugi... Właśnie ten skręcił przy tym upadku rękę, tak, że musieli zrobić najmniej 2-u dniową przerwę...

Przy tej sposobności splanowaliśmy jutrzejszą wycieczkę na Howerlę...

Rano wesoło!!! Mamy kłopot, bo Staśka nam usnęła tak mocno, że nie sposób pokazać jej popularnego wschodu słońca z nad Howerli... Nic... Renata poprostu wyśpiewuje jej do ucha najczulsze rymy własnego układu, ale wszystko na marne...

Wreszcie ostatni sposób!... Duża kula śniegu pod koc!... Zerwała się jak oparzona, i klnąc pocichu na mokre łóżko, ubrała się

spiesznie... Zobaczyła, już ostatnie promyki wschodu i była olśniona... »Już jutro, to ja was sama zerwę ze świtem, ale jeszcze inaczej« — śmiejemy się z niej, bo dowcipu to jej nigdy nie brak, ale my to się trochę znamy na takiem »budzeniu«...

Czas jednak wyłazić ze schroniska, przecież już 7-ma godzina.. A więc planowana Howerla! Ruszamy! Śnieg niestety niżej krytyki, już na drodze ukazuje się naszym oczom planowany szczyt, zasłonięty przedtem przez świerki... Zaczynamy podchodzić... Z góry szusują dwie postacie... Wiemy dobrze jakie nachylenie jest drugiego kotła Howerli, więc nie możemy się powstrzymać by nie stanąć i nie patrzeć... Wzięłyśmy ich za Zakopiańców, niestety okazali się Lwowianinami... Można się było pomylić, bo pomimo ich zaprzeczeń, że Zakopanego nie widzieli na oczy, poznać na nich było szkołę zakopiańską, którą każda z nas zna aż za dobrze... Wyszłyśmy wreszcie na szczyt, po długiej wspinaczce... Widzimy na szczycie małej Howerli, sylwetkę kogoś, który jak opętany, wyłazi na szczyt i zjeżdża szusem z góry, za chwilę znowu na dole i tak miotał się niczem samobójca, tak, że miałyśmy przekonanie, że ten człowiek ni mniej ni więcej, ale się »wścik«... Ale ja nie czułam się swojo... To za wiele.. Tak długo bez żadnej psoty ani czegoś wesołego, to poprostu »tragedja«... Pomyśleć tylko, żem od wczoraj ani razu ich nie wykiwała... Postanawiam bodaj teraz im zwiać... I kiedy one zagapione w ową sylwetkę nie widzą mnie, ja wyrywam... Niestety za parę małych skrętów, już słyszę za sobą głos Renaty »Jaśkaa!... Hej!«... nie odzywam się, moja w tem ambicja, by mnie ona nie dogoniła... Już kocioł... Trzeba koniecznie tu wytchnąć, bo potem nogi jak z galarety... Wtedy to doganiają mnie »lotne hickory« Renaty... Śnieg strasznie nośny, nachylenie stoku 80 stopni, więc i ona czyni to samo co i ja... Za chwilę i Gieny narty takie same zresztą jak i Renaty, doganiają moich zwykłych turystycznych zakopiańskich... »Uff!... Ale ty lecisz... O pocom wzięła hickory! całkiem je sobie zdarłam za tobą«... »Ej, ha! zjeżdżamy!«... Pierwsza leci Giena... Cudownie poprostu!... Jej narty wycinają ostre kanty i chrystjanje na lodzie, swoje lądowanie zakończyła klasycznym telemarkiem... Dalej leci Renata, ta znowu ucina chrystjanjami... W tej chwili dopiero Staśka zjechała do mnie a więc na mnie kolej... Przecieram narty, naraz — o Boże! Coś leci na mnie... Już nie wiem co, chyba lawina!... To coś wreszcie się opiera na moich plecach schylonych, ja obrócona nartami do stoku, momentalnie jestem zepchnięta wdół i lecę... No wobec takiego naporu, jak to się mówi z narciarska »jechaj Salu«, rzecz prosta, że im większy napór tem większy i pęd zwłaszcza na takiej zawrotnej pochyłości... Wymachując łapami jak wiatrakami, usiłując utrzymać równowagę, lecę z jakie 20 m. naraz z za skał wyłażą jacyś narciarze Ja krzyczę »wolna« (w skróceniu trasa wolna) a tu nic, po tej walce z tą panią już i tak mocno wyczerpana, zostaję wyrzucona w powietrze i już leżę. Niestety o wstaniu niema mowy, bo w tej chwili leciałam koziołkując z góry... Wreszcie zatrzymałam się... Niestety bez narty, którą mi wyrwano w połowie stoku, bez kijków z rękawicami...

Zerwałam się na równe nogi, czem wywołałam okrzyk zdziwienia, bowiem nie spodziewały się mnie ujrzeć żywej... Zaczynają jednak nie dowierzając rachować mi kości... Staszka na górze przerażona zjeżdża do mnie na dół z nartą... Tego tylko czekałam... Przypinam swoje dechy i nie zważając na gapiącą się moją współpasażerkę, w której poznaję dobrą znajomą i świetną taterniczkę (ale na nogach), bojąc się sromotnie nabijania się ich ze mnie, wyrywam do schroniska... Jadąc myślałam sobie jaka to wygodna ta p. Staszka nr. 2 gi, że nie mogąc się zatrzymać, siadła sobie na mnie... Obiecałam sobie, że jutro rano zjadę z kotła, (tego wymagała moja ambicja)... Chociaż sama nie wiedziałam czy dam radę... Wprawdzie mnie nic nie bolało, i czułam się zupełnie cała, ale tam moje kolano, któremu dałam radę roku ub. na skoczni worochciańskiej, coś najwyraźniej zaczęło odmawiać posłuszeństwa. Dosyć na tem, że nadrabiając grubo miną, zjechałam do schroniska, gdzie zastałam już tych »śmigających« Węgrów i tych Lwowiaków... Jeden z nich to mistrz m. Lwowa. Oglądałam okiem fachowca jego dechy... To bajka



... ale oto i Kozły...

poprostu... Marzenie... miałyby co lansować moje koleżanki (jakam dobra, że nawet o nich na wycieczce nie »zapominam«)... Przyszły wkońcu tamte 4... Nic nie gadały, ale po obiedzie zaczęły temat mój poruszać... Odpowiedziałam im zupełnie prosto i wesoło: — żadna z was takiego Sylwestra nie miała i chyba tak »cudnie« nie będzie nigdy tańczyła, tembardziej, że ja mam na sobie drogie hafty... Zaczęły się interesujące oględziny...

Niestety nie mogły tych »haftów« na mnie zobaczyć, w końcu wyraziłam im swe współczucie i pokazałam im na mój pohaftowany suto »ciferblat«... Śmiech ich wziął, ale potem się zmartwiły... ale to nic, na wieczór byłam już znowu »piękna« jak to mówili Węgrzy... W końcu omawiałyśmy naszą wycieczkę jutrzejszą... Gości na tego Sylwestra, zjechało się moc z Warszawy, tańczyli do nocy, my »szanujące« siły poszłyśmy spać o 8 mej jak przystoi dziewczynkom... (Ostatecznie Renata i p. Staszka mogłyby zostać)...

Najprawdopodobniej było im żal, że je minie bójka w pokoju, gdzie po zgaszeniu świateł wszystko fruwa w powietrzu, słowem na co się natrafi...

Nowy Rok! — Nasza ostatnia wycieczka!... Śniegu już nie było, to i poco siedzieć?

Poszłyśmy na pożegnanie pod Breskuł i tam swoją część dnia spędziłyśmy na zapamiętałem ćwiczeniu...

Po obiedzie poszłyśmy do kolejki, checa była znowu z tą Staszką nr. 2-gi, bo wystroiła się jak jaki dragon w szynel wojskowy. bez szlif... Nabijałyśmy się z niej całą drogę... Ona bzikowała, jakby miała 15 lat tak jak my...

Podróż od kolejki na dworzec była najmorowsza w mojem życiu, miałyśmy takie humory, jakby jeszcze nie wisiały w powietrzu nad nami coniunctiwy i studja na uniwerku...

P. Staszka brykała jak... no... no... młody koń... Zagięła sobie fantazyjnie szynel i tak szła przez Worochtę... Często ślęcząc w budzie nad nauką, wspominamy nasze wyczyny...

»*Podhalanka*« Stanisławów.

M O D L I T W A.

Skostniały sad wyciągnął ręce długie,
biel je spowiła w koronki z brylantów.
Rusza się wszystko i milknie naprzemian,
a nawet brzęczy podobnie do dzwonków.
Palce kryształów modlitwę wszczynają.
Cicho! Nie stąpaj, lecz schowaj się prędko!
Oddech zatrzymaj i przysłoń źrenice:
ujrzysz cud wielki, cud bieli śnieżystej.

Szereg postaci skulonych przy ziemi
zwartym, rytmicznym posuwa się krokiem.
Procesja wielka — niezwykła i długa
płynie powoli, pochyla się nisko.
Modlą się kornie Arabów postacie,
bielą swe serca, by nie ściemniały.
To nie Araby! To strojne chochoły!
biel ich wymowna, jak zapach różany.

»/«

ŚNIEŻNA DAL.

Tatrzańska puszcza śpi. Nad śnieżną dalą
Księżyc zawiesił blask — nić złotą ciszy.
Drzew białych klęczy tłum na zboczu skalnem,
Za granią stoi mrok i głębią dyszy.
Dokoła lasy śpią — bez dróg, bez końca...
Odwiecznej puszczy kraj, wielki, sierocy.
Ogromne widma drzew, jak baśń milcząca,
Szronów zamarły sen, majaki nocy.
Tam mego domu ślad. Pod skrzydłem smreka,
Chałupka ma wtulona w śniegów ciszę,
Przyćmionej lampki blask tai się, czeka,
Wezbrana serca toń wspomnieniem dyszy...
A w dole śnieżny jar, jak srebrne morze,
Przez pnie dalekich drzew bezgłośnie woła...
Przez mrok, przez gąszcz i cień, białe anioły
Uśpione świecą tam, w olbrzymim borze.
Jeśli się zbudzą raz, zerwą — skrzydlate,
Jeżeli szum i pęd wzniecą w tej głuszy?...
Dziwne anioły śpią, nieznane duszy,
Pomiędzy gęstwą pni bieleją światłem.

A. Gronostajska.

Ruyard Kipling nie żyje.

Dn. 18 stycznia zmarł wielki autor angielski Ruyard Kipling.

Śmierć jego okryła żałobą nietylko ojczyznę jego Anglję, ale cały świat cywilizowany — bo to bezsprzecznie był jeden z większych autorów doby obecnej. Dzieła jego były tłumaczone na wszystkie języki świata i wszędzie miał gorących wielbicieli.

Dla Anglji Kipling stał się tem, czem dla nas Sienkiewicz. Obaj w literaturze najdoskonalej wyrażali swój naród i jego w danym okresie misję dziejową.

Kipling był typowym wyrazicielem dobrego Brytyjczyka, człowiekiem fanatycznie przywiązanym do swego kraju, dla którego praca stała się głównym celem w życiu.

Ruyard Kipling urodził się 13 grudnia 1865 r. w Bombaju i wiele lat swego życia spędził w Indjach. Ojciec jego Lokwood Kipling był kustoszem muzeum w Lahorze i po nim to prawdopodobnie wielki autor odziedziczył swoje skłonności artystyczne.

Ojciec jego był doskonałym rysownikiem, to też ilustrował niektóre prace swego syna. Zresztą Wielki Piewca Dżungli — jak w Anglji nazywają Kiplinga — też próbował sił swoich na tem polu, bo np. jego własne są ilustracje do powiastek dla dzieci »Takie Sobie Bajeczki«.

Kipling spędził długie lata swego życia w Indjach.

Styczność ze wspaniałą przyrodą tego kraju — cała egzotyka, legenda, ciekawa psychologja tubylców z ich wierzeniami, przesądami i uprzedzeniami, stałe obcowanie z oficerami i urzędnikami, pracującemi często w warunkach bardzo trudnych, były wspaniałym bodźcem dla jego talentu twórczego — który poparty rzetelną pracą i masą wrażeń, błysnął wspaniale.

Kipling ukochał podbity naród i niejako odkrył go dla mieszkańca dalekiego Albionu, ukazując go w swych pismach takim, jakim był naprawdę.

Śmiało można uważać Kiplinga za pioniera angielskiej racji stanu nad Gangesem i głosiciela wspólnoty Indji z Macierzą angielską.

Dla idei zbliżenia się tych dwóch tak bardzo odrębnych krain, zrobił więcej niż ktokolwiek inny.

Spuścizna literacka po Kiplingu jest wielka i cenna — pozostawił on arcydzieła na każdem polu twórczości literackiej.

Z chwilą ogłoszenia »Prostych Opowieści z Pogórza« w r. 1890 — Kipling rozpoczyna literacki pochód tryumfalny i nazwisko jego staje się sławne na obu półkulach świata, bo utwory przez niego napisane

są natychmiast tłumaczone na wiele języków i zjednywują mu we wszystkich krajach cywilizowanych szerokie rzesze wielbicieli Jego talentu.

Prawdziwie epokowem wydarzeniem było napisanie w 1894 r. »Księgi Dżungli«, po której nastąpiła w kilka lat później »Druga Księga Dżungli«. Dzieło to zostało uwieńczone w 1907 r. nagrodą Nobla.

Na przełomie obu stuleci, bo w 1901 r. ogłosił Kipling swego »Kima« i od tego czasu już napisał tylko kilka tomów różnych nowel, nie dając żadnej większej powieści.

»Księgi Dżungli« pozostaną zawsze perłami w swoim rodzaju. Bije z nich wielkie zrozumienie zwierząt i pełne miłości do nich podejście.

»Księgi Dżungli« uważać można pod pewnemi względami za próbę zmodernizowania bajki, z której usunięto pierwiastki nadzmysłowe, podkreślając przez doskonałą znajomość życia zwierząt ich charakterystykę i uwypuklanie tła.

Zwierzęta Kiplinga »rozumieją« i poczynają sobie, jak ongiś zwierzęta Grimmów, Andersena i innych bajkopisarzy, ale nie są już tylko dodatkiem do społeczeństwa ludzkiego, niewolniczem plemieniem, skazanem na wegetację z woli »pana-człowieka«. Zwierzęta Kiplinga żyją w dżungli zupełnie odrębnem własnem życiem, rządzą się własnemi prawami i uznają ludzi tylko za intruzów. W rezultacie »Księgi Dżungli« stanowią całość zupełnie oryginalną, w której niema wprawdzie istotnego bohatera, ale w której interesuje czytelnika każdy ustęp i każdy epizod.

Tem przedewszystkiem tłumaczyć należy szaloną popularność tego utworu.

Twórczość Kiplinga jest, jeżeli się tak można wyrazić »doskonale oryginalną«. Kipling stworzył coś zupełnie nowego — nie miał żadnych poprzedników, a przez to, że dał dzieło prawie idealnie doskonałe, wątpliwem jest, czy będzie miał godnych sobie następców.

Zresztą dzieła jego wywołały całą plejadę lepszych i gorszych naśladownictw — które jednak od pierwowzoru były bardzo dalekie. Jako doskonały znawca przyrody indyjskiej, stworzył także i w wielu »nowelach zwierzęcych« nie symbole i alegorje, ale spostrzeżenia z życia. W istocie, zwierzęta Kiplinga nie są tworami sztucznemi, ale prawdziwemi zwierzętami, mimo, że myślą i mówią jak istoty ludzie.

Jego bohaterzy jak: Baloo, Bikki-tikki, Kalo-nag itd. są kreacjami wspaniałemi, do których się czytelnik poprostu przywiązuje.

Morze pociągało Kiplinga, jak każdego Anglika. Podróżował wiele i zwiedził prawie wszystkie części Brytyjskiego imperjum.

I tutaj dał prawdziwe arcydzieła. Wielką zasługą jego w tym wypadku było zwrócenie uwagi społeczeństwa na te warstwy ludności, dla których oceany stanowią teren zarobkowania — np. »Kapitanowe Zuchy«.

Wielką rolę odegrał Kipling, jako wychowawca młodzieży angielskiej.

U najmłodszych starał się wzbudzić zmysł humoru, podkreślając sytuacje komiczne nieraz w sposób groteskowy, — np. »Takie Sobie Bajeczki«. Starszych zachęcał do wytrwałości, krzepił i nauczał, podkreślając zalety duchowe i fizyczne bohaterów.

Tężyzna, hart ducha, siła woli, a z drugiej strony rozwaga, zimna krew i cierpliwość — oto zdaniem Kiplinga zalety prawdziwego Anglika, które dały mu panowanie nad światem i które obowiązkiem młodzieży jest wyrabiać w sobie za młodu. Tutaj wymienić trzeba przedewszystkiem znakomitą książkę »Stalby i Sp.« — powieść z życia chłopców, oraz cykle nowel historycznych »Puck«, »Elfy i Chochliki« — oraz historje z życia marynarzy.

Również i »Światło które zgasło«, »Opowieści z pod Himalajów« — to dwie książki, które sławę Kiplinga rozniosły po całym świecie.

Ostatnie lata spędził Kipling w Anglji — śmierć jego przypadła prawie że w siedemdziesiątą rocznicę jego urodzin.

W Kiplingu uderza nas brak jednego: spojrzenie na człowieka od strony religji.

Kipling nie był katolikiem, nie miał więc szczęścia odkryć wszystkich łask wiary. Odczuwał snać jednak potrzebę podstaw niematerjalistycznych życia, gdyż w pismach swych stawiał zawsze wysoko ideał człowieka etycznego z silnym charakterem.

Kiplinga śmiało można nazwać soczewką, skupiającą w sobie wszystkie dodatnie odblaski duszy narodu angielskiego.

Kipling — to imperjum brytyjskie.

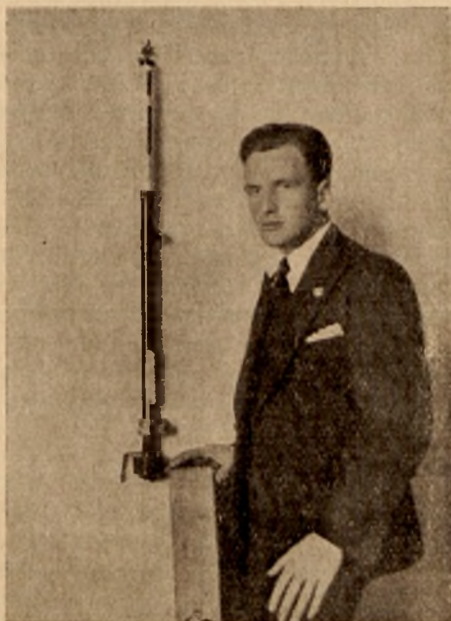
To, co podbiła polityka i armja angielska dla państwa — Kipling zdobył dla narodu i trwałemi węzłami uczuciowemi połączył kolonje i dominja z macierzą.

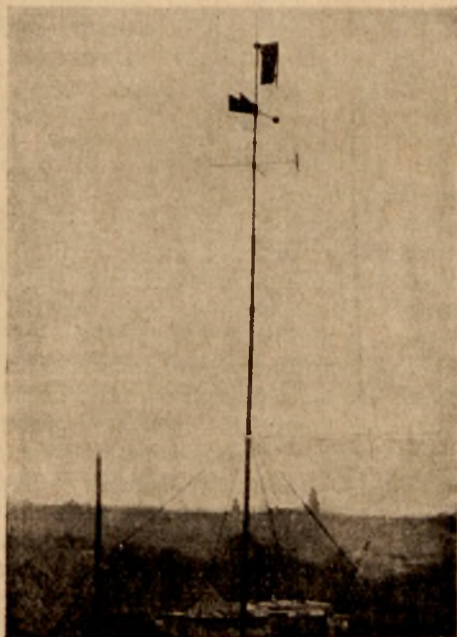
Śmierć Jego okryła żałobą cały naród — wszystkie serca angielskie drgnęły zatem na wieść o tem, że odszedł w zaświaty najlepszy Syn Ojczyzny.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

Stacja meteorologiczna

Rozwój techniki i wynalazki doby obecnej zmuszają cały szereg ludzi do żmudnych badań i dociekań w dziedzinie najrozmaitszych nauk. Jedną z nauk, która najbardziej popularną się staje, a nauką trudną lecz ciekawą jest meteorologja, czyli nauka o zjawiskach jakie zachodzą w atmosferze, a które mają przeogromny wpływ tak na świat żywy jak i martwy naszego globu. Meteorologja jedna z nauk przyrodniczych jest nauką starą, lecz dotąd była zaniedbaną, wyjątki nią się interesowały. Obecnie budzi ona wielkie zainteresowanie tak wśród uczonych, jak i ogółu społeczeństw. Rolnicy, lekarze, sportowcy, lotnicy, nie mówiąc o klimatologach, z całem





oddaniem śledzą wpływ czynników meteorologicznych na objawy życia na ziemi.

I tak lotnictwo bez znajomości meteorologji nie wiele zdziałać może, jak również wojna chemiczna jest nie do pomyślenia bez znajomości takowych. Obecnie jesteśmy świadkami silnego rozwoju szybownictwa (lotnictwo bezsilnikowe), — a to dlaczego,? otóż w powietrzu istnieją prądy ustępujące, które unoszą same aparat do góry, są i prądy stępujące, które mogą strącić ten aparat. Stwierdzenie takowych prądów dało impuls do rozwoju tak pięknego sportu, jakiem jest szybownictwo. Obecnie meteorologja czyni wielkie postępy,

nie ogranicza się do badań dolnych warstw atmosfery, czy gruntu, czy też wód, lecz meteorologowie rozpoczęli szturm po nowe zdobycze meteorologiczne do stratosfery (przestrzeń wyżej 10 km. nad ziemią). Celem więc meteorologji jest poznanie praw, rządzących zjawiskami, zachodzącemi w atmosferze, by móc poznawszy takowe, przewidywać stan pogody na dalszą metę.

Do tych badań potrzebny jest cały szereg urządzeń, aparatów i solidnych pełnych poświęcenia dla wiedzy ludzi. Celem zaznajomienia młodzieży gimnazjalnej z tą nauką, zapalenia jej do pracy, nowych odkryć i wynalazków, Gimnazjum SS. Urszulanek w Poznaniu założyło stację meteorologiczną. Stacja posiada budkę termometryczną z termometrami suchym, zwilgoconym, maksymalnym i minimalnym, deszczomierz, wiatrowskaz i barometr. Notuje się trzy razy na dobę (o 7-ej, 13-ej i 21-ej) temperaturę powietrzną, zwykłą, maksymalną, minimalną. Z temperatury suchego i zwilgoconego termometru oblicza się ilość pary zawartej w powietrzu i wilgotność powietrza. Barometrem rtęciowym mierzy się ciśnienie atmosferyczne, a przy pomocy wiatrowskazu mierzy się kierunek i siłę wiatru. Prócz tego obserwuje się i inne zjawiska jak mgłę, mgiełkę, rosę, szron, pokrywę śnieżną, szadź e. t. c.

Koszta założenia tej stacji wyniosły ogółem 900 zł. — niczem one są, gdyż korzyść jaką ma młodzież z tej nowej dziedziny naukowej jest wielka. Widać to po zainteresowaniu się przyrządami, obserwacjami i wykładami z meteorologji, co jest dowodem, że takie innowacje w szkolnictwie średniem są godne naśladownictwa.

Życzliwość kierownictwa szkoły, zapał młodzieży i pomoc sił naukowych z zakresu meteorologji Uniwersytetu Poznańkiego, dokonały pięknego czynu dla dobra nauki i na pożytek młodzieży.

Inż. Antoni Baka
Asystent met. U. P.

Łowcy mikrobów.

Tylko ten, kto podróżował po obcych krajach, w pełni docenia dobrego przewodnika! Dobrego, to znaczy nie pedanta, ale człowieka doskonale ten kraj znającego i umiejącego pokazać go innym.

Przewodnikiem takim jest **Paweł de Kruif**, autor książki »Łowcy mikrobów«. A krajem, który dzięki jego wytrwałej wiedzy i talentowi naracyjnemu zwiedzamy, jest świat istniejący wprawdzie od wieków, ale odkryty przed dwustu pięćdziesięciu laty.

To świat wcale nieobojętny dla ludzkości: jednocześnie niesamowicie groźny i hojnie dobroczynny, zaludniony tysiącami istot, od najzłośliwszych i śmiercionośnych do przyjaznych i pożytecznych. Odkrycia tego świata dokonał przy pomocy własnoręcznie sporządzonej soczewki pewien skromny Holender, dozorca ratusza w Delfcie **Antoni van Leeuwenhoeck,** który wkońcu 17-go wieku dojrzał pierwszy z ludzi w kropli wody deszczowej maleńkie żyjątka — bakterje. Doniósł o nich Królewskiemu Towarzystwu Nauk w Londynie i członkowie tegoż towarzystwa na posiedzeniu 15 listopada 1677 r. przez specjalnie skonstruowany mikroskop dostrzegli żywe stworzenia, o których przedtem nikt nie miał pojęcia. Rzeczywistość w tej chwili rozszerzała swe granice.

Antoni Leeuwenhoeck, pierwszy myśliwy, który upolował przez zręcznie oszlifowane szkiełko tak fantastyczną zwierzynę, jaką były bakterje, otwiera długi szereg licznych po nim łowców mikrobów. Znajdowali się wśród nich ludzie najrozmaitszego pokroju, najróżniejszych usposobień: pracowici i pedantyczni jak mrówki, fantaści o płonących głowach i żywiołowych temperamentach, wytworni dżentelmeni i zaniedbani naukowcy. Paweł de Kruif kocha ich wszystkich i opowiada o nich z takim żarem miłości, że przelewa go w serce czytelnika, który z każdą przeczytaną kartką tej rozkosznej i entuzjastycznej książki, czuje się bliższym swym nowym zna-

jomym o nazwiskach znakomitych uczonych i arcyludzkich słabościach. A jednocześnie przejmuje się ich sprawami, razem z nimi bada, myli się, wątpi, odkrywa, szaleje z radości i... prowadzony umiejętną ręką autora, poznaje nietylko myśliwych, ale wcale dobrze i samą zwierzynę.

Abbé Spalanzani, profesor przyrody na uniwersytecie w Pawji, ulubiony przez studentów potrafi przekonać najbardziej upartych, że mikroby muszą mieć rodziców, że niema istot samorodnych.

Wielki **Louis Pasteur** nietylko robił doświadczenia, ale umiał je efektownie pokazać światu. Z jego laboratorjum szły osobliwe manifesty, które rozpłomieniały wyobraźnie nietylko uczonych specjalistów, ale i laików, głosił w nich ten mag wiedzy nieznane dotychczas prawdy, o które walczył z niezachwianą pewnością. Zdumieni piwowarzy, gorzelnicy, wytwórcy win i ich klijenci dowiedzieli się nagle, że miljony butelek piwa, wina i spirytusu nie są dziełem rąk ludzkich, ale mikroskopijnych istotek — bakteryj fermentacyjnych. A jednocześnie wstrząsnął Pasteur całą ludzkością, uświadamiając ją, że bliscy krewni tych pożytecznych stworzonek, również bakterje są najgroźniejszemi jej wrogami, sprawcami wszelkich chorób, posłami śmierci. Wezwał świat do walki z nimi, pierwszy stanął w szeregu i wkrótce stał się pogromcą jednego z najstraszniejszych morderców, bakcyla wścieklizny, wynajdując skuteczną przeciw niemu szczepionkę.

Do pracowni cichego **Kocha**, niedawno skromnego lekarza wiejskiego, też chyba zajrzeć warto. On właśnie zdemaskował przed światem siejącego śmierć niszczyciela, lasecznika gruźlicy i tu można obejrzeć na szklanej płytce pod mikroskopem przecinkowca cholery, zabójczej choroby, której, dzięki nieustraszonym badaniom K o c h a, nie zna dziś Europa.

Warto również poznać dwóch **Emilów**, trzeźwego Francuza, **Roux** i poetycznego Niemca, **Behringa**, który patrząc na gwałtowny rozwój zapalenia płuc, porównywał je w myśli z rwącym potokiem górskim. Można przeżyć niejedną emocję, gdy się śledzi ich pełną sensacyj walkę z dusicielem dzieci, dyfterytem. A niepodobna już wręcz nie słuchać, gdy zabierze głos **Eljasz Miecznikow**, żyd rosyjski. Fagocyty, po polsku pożeracze komórek, to wędrowne ciałka, istniejące w naszej krwi, które czatują na przedostające się tam bakterje i pochłaniają je; dzielna armja organizmu, wystawiona przeciw zabójczym mikrobom i zależnie od swej siły decydująca o mniejszej, lub większej jego odporności na choroby. Miecznikow wykrył je pierwszy, między innemi składnikami krwi i wyjaśnił ich rolę. Jego opowiadania o walce fagocytów z bakterjami były tak plastyczne, tak żywe, jak najlepsza tragedja filmowa, więc jego teorja budziła tem większe uznanie. Amerykanin **Theobald Smith**, który pięknie grywał na organach, wykonał swemi zręcznemi palcami tysiące doświadczeń, walcząc ze straszną chorobą bydła, gorączką Texasu, i wykrył nieoczekiwany sposób szerzenia się zarazy przez owady, nosicieli chorobotwórczych bakteryj. Po nim łatwo już było **Dawidowi Bruce**, ukąszonemu przez muchę tse-tse, zbadać, że przenosi ona śpiączkę; niedługo później zadziwiająco gorący i niespokojny, jak na Anglika **Ross** i zimny, jak lodowiec Włoch, **Grassi** pokłócili się nie na żarty, gdy obaj jednocześnie, jeden w Indjach, a drugi na równinach Capaccio, wytropili pewien gatunek komara, kolportera malarji, a miłemu dżentelmenowi, obywatelowi Stanów Zjednoczonych, **Reed'owi**, udało się pogromić żółtą febrę, gdy się przekonał, iż roznoszą ją moskity. Tylko, że do tego przekonania wiodła droga już nie przez trupy doświadczalne zwierząt: świnek morskich, królików, myszy, ale przez trupy ludzi, bo na zwierzętach nie można badać tej choroby. Znaleźli się ludzie, którzy wezwani



przez Reed'a, w imię nauki, w imię ludzkości postawili na kartę swe życie, a pogrzebowe dzwony, które zajęczały nad trumnami tych, co ryzyko śmiercią okupili, obwieściły jednocześnie światu koniec żółtej febry.

Innych jeszcze łowców mikrobów mądrych, przebiegłych, nieustraszonych, ich walki, postępy, trudy i ofiary opiewa Paweł de Kruif w swej epopei, poświęconej heroicznym wyprawom przeciw maleńkim mordercom, co zbrojni niewidzialnością dziesiątkują ludzkość.

Z całego serca polecamy naszym czytelniczkom książkę Pawła de Kruif: po jej przeczytaniu jesteśmy bogatsze o wielki, tajemniczy świat i o poufałą znajomość z tymi, którzy go odkryli.

M. S. S.

Parki narodowe.

Idea parków narodowych przyszła do nas ze Stanów Zjednoczonych. Amerykanie, ci najbardziej praktyczni ze wszystkich ludzi, umiejący wszystko wyeksploatować i ze wszystkiego wyciągnąć korzyść, zrozumieli pierwsi, że natura w swojej pierwotnej, niepoprawionej i nieoszpeconej przez człowieka formie, to wartość rzeczywista, którą należy ochronić i przechować. Z wrodzonym sobie rozmachem i zamiłowaniem do wszystkiego, co wielkie, największe, kolosalne, wydzielili w Ameryce Środkowej wielkie tereny, broniąc ich przed zachłannością człowieka prawami ochronnemi. Obszar ten został nazwany parkiem narodowym.

Piękną myśl Ameryki przyjęło wiele krajów w Europie. Oczywiście parki europejskie są o wiele mniejsze obszarem, mają jednak tę samą ideę: obronę praw natury i jej piękna.

Polska, jak we wszystkiem, tak i w tem nie pozwoliła wyprzedzić się innym. Tatry, Pieniny, Czarnohora, góry Świętokrzyskie, puszcza Białowieska — oto tereny, na których od kilku lat rozwijają się nasze parki, nie licząc mniejszych rezerwatów, jak np. rezerwat cisowy, Knieźdworze, Kępa Radłowa pod Gdynią, albo Ludwikowo pod Poznaniem.

Przyjrzyjmy się tym naszym parkom.

Najbardziej imponujący będzie niewątpliwie park Tatrzański. Granitowe i wapienne skały z najwyższym szczytem Garłuchem, dochodzącym do 26.3 m., stwarzają krajobraz wspaniały w swem bogactwie i pierwotności. Zbocza pokryte gęstemi świerkowemi lasami, kosodrzewiną i w wielu miejscach florą alpejską. A pośród bujnej roślinności żyją niedźwiedzie, rysie, jelenie, sarny i kozice. W potokach łososie i pstrągi, na szczytach orły.

Park narodowy w Pieninach położony jest pomiędzy Czorsztynem, Krościenkiem i Szczawnicą z jednej strony, między Niedzicą i Sromowcami — z drugiej. Najwyższy szczyt Trzy Korony sięga 982 m. Góry Pienińskie powstały z wapienia, pełne grot i upłazów, pokryte pierwotnemi lasami, poprzerzynane wstęgą Dunajca, zdawna noszą nazwę polskiej Szwajcarji i stanowią bodajże najbardziej malowniczy zakątek naszego kraju.

Polski park narodowy w Pieninach stanowi organiczną całość ze Słowackim Rezerwatem Natury, parkiem narodowym czechosłowackim. Wobec istnienia konwencji turystycznej między Polską i Czechosłowacją, umożliwiającej obywatelom obu państw przekraczanie w celach turystycznych granicy Beskidów zach. i Tatr, pienińskie parki narodowe stanowią pierwszy w Europie Park Natury.

Puszcza Białowieska, położona u źródeł Narwi, Leśny i Jesiołdy, jest największym obszarem leśnym na poniżu Europy środkowej (4.600 ha). Posiada bogatą zwierzynę, wśród której króluje żubr. Poza parkiem narodowym istnieją dwa rezerwaty, utworzone w celu ochrony jodły i dla zachowania wszystkich typów boru sosnowego.

Park Czarnohorski, którego najwyższy punkt wznosi się na 2057 m. (Howerla) odznacza się przedewszystkiem bogatą roślinnością. Zbocza gór pokrywają często nietknięte lasy, na wyższych poziomach rośnie kosodrzewina i różanecznik wschodnio-kar-

packi. Z pośród zwierząt na pierwszy plan wysuwa się niedźwiedź, wilk, ryś i żbik.

I wreszcie piąty park narodowy: Puszcza Jodłowa im. Żeromskiego w górach Świętokrzyskich. Tutaj oczom turysty ukażą się góry o kształtach łagodnych: grzbiety lekko zaokrąglone w formie kopic, na zboczach wspaniała puszcza jodłowo-bukowa, u podnóża stare lasy sosnowe, wierzchołki pokryte skalnem rumowiskiem. Góry Świętokrzyskie choć niezbyt wysokie (Łysica 619 m.), są przecież najwyższem pasmem na płn. od Karpat do Skandynawji, Uralu i Krymu. Polskie parki narodowe, narazie zorganizowane zgrubsza, bardzo jeszcze młode i mało popularne, w niedalekiej przyszłości staną się niewątpliwie jednem z pierwszorzędnych bogactw naszego kraju. Odpowiednio reklamowane ściągną szerokie rzesze turystów i zadadzą kłam tak bardzo rozpowszechnionemu mniemaniu, że w Polsce nic ciekawego zobaczyć nie można.

M. Ł.

Ludzie są dobrzy.

»Ludzie są dobrzy« — dziwaczny tytuł, jak sam Autor go określił — dziwaczny, jak na dzisiejsze kryzysowe czasy, ale tak bardzo oczekiwany, gdy chodzi o d o b r e pióro Gustawa Morcinka.

Autor serca rzuca na platformę życia w ostatniej swej powieści epizody niesłychanie proste, nie wyszukane, »wzięte z brzegu«:

Katastrofa spowodowana zalewem kopalni, górnicy, nędza bezrobotnych, szukanie środków do życia — oto główny szkielet powieści. Temat ubogi, a jednak ciekawy przez naświetlenie postaci promieniami dobroci. Każda istota Morcinkowa ma serce szlachetne, więc doktór Nowak, który w poszukiwaniu pomysłów w swej głowie, jak ratować chorych na gruźlicę biedaków, pomaga sobie obrywaniem guzików towarzyszowi. Ujec, który zbiera graty poto, by niemi sprawiać uczniakom przyjemność; — nawet małpeczka zarabia stuczkami na życie swemu Kucharji, a potem ginie z ręki złodzieja, w obronie zegarka swego pana.

Należy podziwiać spryt Autora, który potrafi skonstruować powieść ciekawą bez starotypowego środka: fabuły erotycznej.

Trudno nazwać to zaletą, bo jest to specyficzny talent Morcinka, który da sobie radę w odegraniu sobie właściwej sztuki na terenie ukochanej ziemi śląskiej. Czytelnik nie spodziewa się zakończenia powieści, akcja jest nieoczekiwana.

Środowisko jest prymitywne, ale czujemy się w niem dobrze, właśnie dla tego ciepła Morcinkowego, który najchłodniejszą izbę zalewa promieniami słońca. I to jest wybitną zasługą Morcinka. Ten jedyny dziś stylowy piewca Śląska stał się apostołem dobroci dla całej naszej Ojczyzny.

Pióro Morcinka jest moralnie czyste i dobre. Za to należy mu się wdzięczność rodziców i miłość dzieci polskich.

Szczęśliwy Pisarz, który — w chwili, gdy wszyscy mówią o złych rzeczach i złych ludziach — ma odwagę iść naprzeciw fali wytwarzaniem czystego powietrza swem d o b r e m s ł o w e m.

»/«

T E A T R   G R E C K I.

(Dumanie w Fiesola ,koło Florencji).

Od wieków przysypany ziemi pyłem szarym,
Jak we śnie spoczywałeś, teatrze prastary,
Na wzór grecki wzniesiony, z Rzymian rozkazania,
Kiedy w ziemi etruskiej przyszli do władania.
Nadała się do świetnej, teatralnej roli,
W krajobraz zdobna cudny, dolina Fiesoli

I powstałeś klasyczny, olbrzymi, wspaniały,
Dla zabawy pospólstwa i tragedji chwały.
Dziś — staraniem tych ludzi, co czczą dawne czasy,
Powróciłeś choć w części, do pierwotnej krasy,
I poglądasz dokoła — żywy, choć umarły,
Mierząc dawnych olbrzymów, z dzisiejszemi karty.

Na teatr starogrecki pada srebrna rosa,
Pieszcząc duch Sofoklesa i duch Ajschylosa,
Co zeszli, niewidzialnie dotykając sceny...
Mistrzowie nieśmiertelni, słudzy Melpomeny!
I z przeszłości dalekiej, klasyczne utwory,
Wywołują, w tęsknocie do widziadeł skorej...

Naraz... naturalna ożywia się scena...
Z ruin wyszły greczynki... Nieśmiała Ismena.
I cudna bohaterstwem duszy Antygona...
Djalog trwa... Potem zjawia się postać Kreona,
Chór starców... Hajmon miły... Wyrok bez litości...

Pierzchło wszystko... Dokoła święta cisza gości..
Na ułudę zapadła ciemna zmierzchu kresa...
Co to było?... To zwierzał się duch Sofoklesa!

Na teatr starogrecki pada srebrna rosa...

Na lektyce z pałacu zjawła się Atossa,
Niespokojna o syna i Persów zwycięstwo...
Bieży goniec... Na ustach ma strach i przekleństwo.
Kserkses upokorzony... Wtem prysła ułuda...
To Ajschylos, tragedji ojciec — czynił cuda!

Od wieków, przysypany ziemi pyłem szarym,
Jak we śnie spoczywałeś teatrze prastary...
Teraz żyć chcesz — jak wielkie ożyły Ateny,
Wskrzeszając widowiska starogreckiej sceny.

Jagienka z pod Lublina.

SOMNABULIK.

Strudzony usnął zmierzch w ramionach brzegu,
i piersią przylegl siny torpedowiec —
śni „Dar Pomorza" w fal płynnym podźwięku,
dzieje narodzin, biel, sosnową powieść.
Siecią na toni gwiazdy łowi kaszub,
miedziany księżyc gasi wielki pożar,
i tkwię wrośnięty, krzyk pobrzeżnych lasów:
— Rześwości nocna, płynąca od morza!...

Kazimierz Lipski, Stud. K. U. L.



„Dar Pomorza".

W. I ST. MIŁASZEWSCY I J. REMBIELIŃSKI: »CHÓR WIEKÓW«.

Z kart tego wartościowego zbioru podziwiamy zestawienie, pełne antologji polskiej poezji religijnej. Układ »Chóru wieków«, to nie banalne, chronologiczne przytaczanie porywów poetyckich naszych poetów, ale poprzez poezję polską przewijający się rok liturgiczny. Przytaczamy słowa J. E. Ks. Biskupa Teodorowicza: »Wyczuliście Państwo dobrze potrzebę dzisiejszej polskiej duszy. Bo wysuszoną jest ta dusza i pracą i znojem codziennym i zmaganiem się myśli krzątającej się niby Marta wkoło wiela rzeczy, a niczego tej duszy bardziej dziś nie potrzeba, jak rosy ożywczej, głębokiej, religijnej poezji«.

KS. KUBISTA: »KRZYŻ I SŁOŃCE«.

Powieść ta wprowadza nas do Ameryki Południowej i wykazuje świat pogański, podbity przez tryumf Chrześcijaństwa. Czasy najazdu Państwa Słońca przez Hiszpanów, egzotycznie i barwnie przedstawione, zajmą naszą młodzież żądną wrażeń.

KS. T. GRYGLEWICZ: »ZŁOTA SIEĆ«.

Powieść z życia szkolnego. Bohaterką powieści Sławka, przejęta duchem prawdziwej przyjaźni i miłości do koleżanek i otoczenia, nie zraża się chwilowemi niepowodzeniami i przykrościami, lecz wytrwale dobrocią i łagodnością, wpływając na nie, zadzierzga więzy prawdziwej, głębokiej przyjaźni, tak mało spotykanej.

Jest to książka pełna wiary w zwycięstwo dobra i piękna.

Państwowe Wydawnictwo książek szkolnych Warszawa-Lwów 1936.

Adam Wojtyga — Turnieje lotnicze.

Na to, by jakieś zagadnienie zrozumieć naprawdę, by uchwycić jego głębię i istotę, trzeba zetknąć się z tymi, którzy tem zagadnieniem żyją. Takie zetknięcie bezpośrednie z istotą turniejów lotniczych daje nam książka majora-pilota Wojtygi. Przeżył on turnieje, a w książce swej, prócz myśli i uczuć własnych daje także uchwycone „na żywo" poglądy i emocje tej garści, sporej już dziś u nas, której na imię – polscy lotnicy.

...I dopiero, obcując z nimi, rozumie się, że turniej to nie rekord tylko, że turniej, to wyczyn maszyny, ale w większym jeszcze stopniu — wyczyn ducha ludzkiego, probierz ducha tego siły, konsekwencji i śmiałości lotów. Książkę Wojtygi powinna znać i kochać cała młodzież Polski.

Wiktor Ostrowski. Na szczytach Kordyljerów Książka zatwierdzona przez Min. W. R. i O. P. jako lektura uzupełniająca dla gimnazjum.

Młodzieńczy pęd ku zdobywaniu szczytów, to wyraz siły i żywotności naszego Narodu. Pęd ten uniósł wyprawę polską z ojczyzny do dalekich lądów Ameryki południowej, by tam, w zmaganiu się z mocami przyrody silnem, a roztropnem i przemyślnem wykazać hart ducha i woli polskiej, by na szczycie Aconcagna zatknąć — Sztandar Polski. Wyprawa ta, to nie wyczyn mięśni tylko — one zawodzą w górach, gdy nie trzyma duch.

Obok zdrowej, silnej, tchnącej ukochaniem tego, co zdobyte w trudzie — ideologji — książka zawiera dużo cennych wartości naukowych — i dużo humoru... i jeden jeszcze djament bezcenny – tęsknotę do naszych, polskich Tatr wśród majestatu amerykańskich szczytów. Ukochać to, co nasze – i iść nazewnątrz poto, by imię kraju swego wysoko nieść — to hasło zdrowe, logiczne, toteż warto, by rozbrzmiało ono przez książkę Ostrowskiego wśród naszej młodzieży. — *M. Ch.*

B. Chwaściński i J. Wojsznis. Wśród gór Marokka — są to wspomnienia z polskiej wyprawy w góry Atlas. Książka ta pisana bardzo ciekawie, odsłania nam nietylko tajemnice i piękno mało znanych dotychczas gór Marokka, lecz zapoznaje nas również z życiem i zwyczajami mieszkańców kraju. Opisy często są ilustrowane fotografjami.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

Jaśka »Podhalanka«. Wyczyny narciarskie powitałyśmy z radością; żal nam tylko tych »fotek«, które pomimo pokrowca w czasie upadku zanurzyły się w wodzie. — Ze względu na kryzys, który zagląda nawet do naszego pisma, zmuszone byłyśmy tylko jedną »fotkę« użyć. — »Ociec« ma rację i trzeba go słuchać, bo manuskrypta należy przesyłać pisane tylko na jednej stronie. — Czekamy na reportaż z zawodów w Partenkirchen. Wolałybyśmy jednak, aby silny mróz nadał większą spoistość opisom, które »na Zarośiaku« prawdopodobnie z powodu odwilży są nieco »wodniste«.

Projekty okładek chętnie przyjmujemy — mogą być wykonane piórem, akwarelą, a nawet i ołówkiem. Zawsze wszystkie numera poprzednich miesięcy można nabyć w redakcji.

»Neoza«. Prostujemy mylnie podane w poprzednim numerze nazwisko autorki wiersza »Przyszłość«, która się nie nazywa Korywicka, ale Korewicka. Wiersze wydrukujemy może w przyszłym numerze. Czy nasza młoda poetka poddaje swoje wiersze krytyce naszej wybitnej poetki, współpracowniczki »Dziś i Jutra«, S. M. T.

Hela gimn. 643. »Lekcję pokazową« otrzymałyśmy zapóźno; ukaże się w przyszłym numerze.

»Wisława«. Wszelkie prośby załatwimy. »Preludjum Szopena« oddamy Komisji Redakcyjnej.

Baśka gimn. 643. Z humorem ujęta kwestja natchnienia jest naprawdę naśladownictwem, choć jeszcze dość nieudolnem, »Wesołej Fali«, której przez ostatnie niedziele z prawdziwą satysfakcją słuchałam. Umieścimy humoreskę w marcu.

TREŚĆ N-ru 6-go:

Roczniki »Dziś i Jutra« z dawnych lat są do nabycia w Redakcji: **Kraków, Starowiślna 11**

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 6 ZŁ.

Numer pojedynczy 0·60 zł.

Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Zofja Zakrzewska.

Adres Redakcji; Kraków, ul. Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.